Nr. 134. Lwów — Sroda dnia 14 Czerwca. Rok 1899.

Wychodzi w dni powszednie, o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i Austryi miesięcz. 1 złr. 10 ct.
w Niemczech . . . 1 „ 50 „
w innych Państwach 2 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 20 „
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 1 zł.
Numer kosztuje we Lwowie . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . . 6 ct.
Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 50 ct. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.

Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
wiersz petitowy albo jego miejsce 10 ct.
W drobnych ogłoszeniach
tłustym petitem za każde słowo 2 ct.
tłustym garmondem „ „ 3 ct.
koresp. prywatne „ „ 4 ct.
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . . 30 ct.
Reklamy po kronice wiersz petit. 50 ct.
Ogłoszenia nad przeglądem politycznym na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 30 ct.

Dziś: św. Bazylego B. — Nykyfora
Jutro: św. Wita i Modesta — Łukyłyana

Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: *LUDWIK MASŁOWSKI.*

Wschód słońca o g. 4 m. 5
Zachód „ 7 m. 55

Długość dnia godzin 15 m. 50
Przybyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwow 13 czerwca.

Znowu epidemicznie wybuchają zmowy robotników i zawieszenie robót, co oczywiście szkodzi materyalnie i tym, co z pracy rąk żyją, i tym również, którzy ją dają, a w rezultacie odbija się to fatalnie na majątku całego społeczeństwa. Zaiste, Europa, wystawiona na coraz groźniejszą konkurencyę Ameryki, nie może sobie pozwalać na takie zatargi, które ją ubożą. Trzeba szukać ratunku.

Właśnie znaleziono go w Anglii — w tym kraju, gdzie się najpierw chwycono zmów i bastówek, jako potężnych środków walki z przemysłowcami. Tam powstały pierwsze związki robotników i ich kasy zapomogowe, z których każdy bastownik otrzymuje stały zasiłek podczas ogólnego zawieszenia roboty. Taka organizacya znakomicie wzmocniła położenie pracowników, lecz niestety uczyniła ich nieraz zanadto skłonnymi do tworzenia zatargów. Okazało się to zwłaszcza wtedy, gdy związki poczęły się specyalizować. Naprzykład, z początku był jeden ogólny związek węglarzy, potem zaś podzielił się on na stowarzyszenie robotników, wyłamujących węgiel w podziemiach, stowarzyszenie drugie, do którego należą ci, co ów węgiel windują na powierzchnię ziemi, i stowarzyszenie trzecie, złożone z robotników, układających go w stosy. Tak samo pierwotnie ogólny związek pracowników budowlanych podzielił się później na odrębne stowarzyszenia murarzy, fasadziarzy, cieśli, ślusarzy i t. d. Między tymi robotnikami poczęły łatwo powstawać spory o to, że gdy jeden zamarudził, to drugi musiał czekać na robotę i czas tracił, a czas to pieniądz. Ponieważ w związkach obowiązuje solidarność, więc takie spory zawsze prowadziły do zatargów między stowarzyszeniami, które występowały z pretensyami do przemysłowców. Ostatecznie oni zawsze byli winni, oni swoim kosztem musieli czynić zmiany w porządku robót, aby oba pokłócone stowarzyszenia mogły sobie podać ręce do zgody. Zdarzało się jednak regularnie, że gdy przemysłowiec nie mógł załatwić sporu, to wszystkie specyalne stowarzyszenia robotnicze łączyły się przeciwko niemu. Przedsiębiorcy zaczęli się więc bronić sposobami, wymyślonymi przez robotników, mianowicie, również potworzyli związki i swoje kasy na przetrwanie niezawinionej zmowy. Na bastówki robotników zaczęli odpowiadać własnemi bastówkami — i tak jęły powstawać te wojny wszystkich z wszystkimi, z których jedna, owa przeszłoroczna w fabrykach maszyn, trwała dziesięć miesięcy, na długo podcięła ten przemysł w Anglii, wyszła na korzyść niemieckiego, zwiększyła emigracyę i przyprawiła o kij żebraczy tysiące robotników, a do bankructwa doprowadziła kilka akcyjnych fabryk. Ten straszny przykład nie poskutkował. Tej wiosny powstał zatarg między stowarzyszeniem robotników, tynkujących mury, a stowarzyszeniem robotników, przylepiających ornamentacyjne ozdoby. Skrupiło się, jak zwykle, na budowniczych. Stowarzyszenie tynkarzy (National Association of Plasterers) zawiadomiło okólnikiem wszystkich budowniczych w Anglii, że zrywa robotę. Dwanaście tysięcy ludzi odrazu zabastowało. Wtedy związek budowniczych (National Association of Master Builders) sprowadził tynkarzy z Holandyi, Francyi i Włoch, lecz gdy to się stało, wszystkie związki robotników budowlanych, więc murarskie, ciesielskie, ślusarskie, kamieniarskie, szklarskie i t. d. zagroziły ogólną bastówką, jeżeli w ciągu tygodnia nie będą oddaleni robotnicy obcy i tacy miejscowi, którzy nie należą do związków. Budowniczowie przyjęli wyzwanie i postanowili sprowadzić z zagranicy robotników wszelkich kategoryj, używanych przy budowlach. Groziła bastówka 240 tysięcy ludzi. Łatwo sobie wyobrazić, ile nędzy odrazu powstałoby w kraju, gdyby tyle osób nie zarobiło przez lato na cały rok! ile owoców długiej, twardej pracy poszłoby na marne jedynie wskutek zawziętości i fałszywego mniemania, że praca i kapitał — to są zasadniczy wrogowie, kiedy z reguły są oni przyjaciółmi, a wrogami się stają jedynie z powodu nadużyć, niestety zbyt częstych, i z powodu wzajemnej nieufności.

Lecz kiedy już walka miała się zacząć, wystąpili prywatni ludzie, dziennikarze londyńscy pod dowództwem redaktora *Daily News* p. Cooka. Najpierw wezwali oni na naradę delegatów związków robotniczych, wyłuszczyli przed nimi swe zapatrywania na sprawę i otrzymali od nich mandat pośredników pokojowych. Potem to samo zrobili ze związkiem przedsiębiorców budowlanych. A następnie, ułożywszy warunki zgody, wezwali na wspólną naradę sześciu przedstawicieli związków robotniczych i tyluż przedstawicieli stowarzyszenia budowniczych. Na tej konferencyi, która zupełnie się powiodła, ułożono regulamin wzajemnych stosunków, tak rozsądny, że teraz dobrowolnie zaczynają go przyjmować wszystkie związki robotników i przemysłowców. Może tedy ustanie wojna wszystkich z wszystkimi i zamiast rujnującej obie strony walki, szkodliwej dla społeczeństwa ekonomicznie, szkodliwej jeszcze bardziej moralnie, bo rozkrzewia nienawiść, zakwitnie zgoda, wzajemna życzliwość i zrozumienie wspólnego interesu.

Ten regulamin można wszędzie zastosować, więc go podajemy.

W każdej miejscowości, wszystkie jednoimienne związki robotników i przemysłowców wybiorą wspólny komitet do rozsądzania zatargów. Każdy wyrok musi zapaść w ciągu sześciu dni, tymczasem zaś ani robotnicy nie mają prawa zaniechać roboty, ani przedsiębiorca zmienić warunków pracy. Po sześciu dniach wolno obu stronom zgłosić protest przeciw wyrokowi, na co się przeznacza dni pięć, w ciągu których powinna trwać robota tak, jak gdyby nie było zatargu. Nadto te lokalne komitety układają porządek robót w razie wszelkich sporów między jakąś jedną a jakąś inną grupą robotników. Przeciw postanowieniom komitetu lokalnego co do porządku robót i przeciw wyrokom jego w zatargach między robotnikami a przedsiębiorcami wolno w ciągu pięciu dni wnieść rekurs do komitetu krajowego, złożonego z sześciu delegatów wszystkich jednoimiennych związków robotniczych i tyluż delegatów takich samych związków przedsiębiorców. Wyrok tego komitetu jest już ostateczny. Zanim on zapadnie, warunki pracy muszą pozostać bez zmiany, a po jego ogłoszeniu, ta strona, która się do niego nie zastosuje, traci prawa członka związku: przedsiębiorca traci na zawsze robotników, a robotnicy zostają wykluczeni z potężnych Trades-unionów i już odtąd nad nimi nigdy się nie rozciągnie ich opieka.

Po zawarciu tego układu obie strony podziękowały dziennikarzom za pośrednictwo, przyczem oświadczyły w dziękczynnem piśmie: „Możemy spokojnie spoglądać w przyszłość; stosunki między robotnikami a przedsiębiorcami niezawodnie się polepszą, zapanuje przyjaźń i wzajemna wyrozumiałość, sztrajków w Anglii nie będzie. W Hadze radzą nad utrwaleniem pokoju międzynarodowego, myśmy utrwalili pokój wewnętrzny“.

Wysoki i nader wpływowy urząd pomocnika warszawskiego jeneralnego gubernatora do spraw cywilnych opuścił książę Obolenskij, a jego miejsce zajął jenerał Podgorodnikow, o którym bardzo pięknie mówią. Ks. Obolenskij, dygnitarz cywilny, podobno chciał w sprawach swego zarządu górować nad swym wojskowym szefem księciem Imeretyńskim, a nadto, należąc do szkoły Hurki i Apuchtina, tworzył, jak utrzymują, stałą opozycyę naczelnikowi kraju na warszawskim gruncie i ustawicznie minował pod nim w Petersburgu. Opowiadają mnóstwo szczegółów tej ukrytej walki, przypisując jej niedawne rozjątrzenie sprawy studenckiej i niedawne aresztowania redaktorów, oraz wiele takich wypadków, w których była na szwank narażona powaga jeneralnego gubernatora. Następcą księcia Obolenskiego miał zostać prezydent apelacyjnego sądu warszawskiego p. Turnau, o którym również mówią jako o zwolenniku apuchtinowstwa, lecz ks. Imeretyński żądał, aby zamianowano osobistość wojskową, któraby się nie uważała za doświadczeńszą w sprawach cywilnego zarządu od swego szefa i nie chciała z tego powodu górować nad nim, proponował zaś jenerała Podgorodnikowa, prawego żołnierza. W Petersburgu długo ważyły się szale wpływów dawnych z nowymi i teraz nareszcie przeważyły ostatnie. A podobno miało od tego zależeć dalsze pozostawanie ks. Imeretyńskiego w Warszawie. Gdy uwzględnimy, że niedawno zbyt wrogo i niesprawiedliwie usposobiony dla naszego społeczeństwa naczelny cenzor Jankulio przeniósł się do Petersburga, a jego miejsce zajął przyzwoity człowiek i wykształcony literat p. Emauski, to będziemy mogli powiedzieć, że się w Warszawie przerzedzają szeregi wychowanków księcia Alby — chcieliśmy powiedzieć panów Hurki i Apuchtina.

Kompromis.

Piszą nam z Wiednia, 11 czerwca:

Kompromis zawarty! Wczoraj na obiedzie, wydanym przez hr. Gołuchowskiego w swem letniem pomieszkaniu w Schoenbrunnie, ministrowie austryaccy i węgierscy zapieczętowali zgodę. Szczegóły kompromisu dotąd nie wiadome. Półurzędowy *Fremdenblatt* jako główną moralną zdobycz ostatnich rokowań podnosi to, że kompromis, zawarty pomiędzy Szellem a opozycyą węgierską, został poddany rewizyi, że zatem uznano, iż o sprawach wspólnych nie może rozstrzygać wyłącznie układ pomiędzy stronnictwami węgierskiemi. Główną praktyczną zdobyczą zdaje się być to, że termin ugody został przedłużony o 3 czy 4 lata. Uważamy to rzeczywiście jako rzecz pomyślną. Nowy parytetyczny statut banku wspólnego wejdzie w życie natychmiast. Nie ulega wątpliwości, że pomimo ciągłych podburzań *N. fr. Presse*, dyrekcya banku, która już zasadniczo przystała na tę nową organizacyę, wynikającą logicznie z ustroju dualistycznego monarchii, zgodzi się bez wahania na odnośne propozycye obu rządów. Zamiar przeszkodzenia parytetycznej organizacyi banku, zasadniczo przyznanej już w rokowaniach r. 1877 i 1887, z góry nie mógł mieć żadnego uprawnienia, to też gabinet austryacki nie powinien był się upierać przy tej mrzonce starych centralistów. Kwestya kwoty nie pozostaje w formalnym związku z traktatem cłowym i handlowym. Ale niewątpliwie zachodzi pomiędzy niemi moralne „junctim“. Przypuścić zatem można, że na ostatnich poufnych konferencyach zastanawiano się także nad kwestyą kwoty. P. Szell podobno poufnie, nie przesądzając uchwałom deputacyi kwotowych, oświadczył gotowość podwyższenia kwoty węgierskiej na 34.6%.

Bądź co bądź, w obec doniosłego faktu, że nareszcie kompromis przyszedł do skutku i że znikła z widowni groźba zerwania unii ekonomicznej dwóch połowic monarchii, za czem już lekkomyślnie przemawiał nawet „klub przemysłowców“, szczegóły tracą na znaczeniu. Wszystkich dbałych o dobro monarchii ludzi kompromis powinien napełnić najżywszą radością. Naturalnie prasa opozycyjna, która w ostatnich czasach najnamiętniej podburzała gabinet do oporu przeciwko wszelkim ustępstwom, teraz rozpoczyna kampanię pod pretekstem, że gabinet austryacki doznał porażki, poddał się żądaniom węgierskim itd. Rzecz ciekawa, jak starannie ta prasa unika wszelkiej wzmianki o interwencyi barona Chłumeckiego w ostatnich rokowaniach, chociaż właśnie ta interwencya b. ministra lewicy i prezydenta Izby świadczy, że także wytrawniejsze żywioły lewicy uznawały konieczność kompromisu. *Neue freie Presse* dziś namiętnie uderza na b. ministra **Bilińskiego**, jako autora ugody. Gdyby ją był zdołał przeprowadzić p. Biliński, byłaby ona znacznie korzystniejszą i byłaby zawartą w drodze parlamentarnej. Te napaści *Neue fr. Presse* b. ministrowi skarbu przynoszą tylko zaszczyt, ale zarazem odsłaniają jakąś dziwną, a prostą logiką niełatwą do wytłómaczenia mściwość wymienionego organu względem byłego ministra skarbu.

W sprawie Kasy oszczędności.

Po tylu wstrząśnieniach, jakie nasz kraj przeszedł ostatnimi czasy, a które zadały mu nietylko materyalne, ale co ważniejsze, wielkie moralne rany, wystawiając nas na urągowisko obcych lub nieżyczliwych nam żywiołów, powinien koniecznie nastać okres uspokojenia, gdyż inaczej nieszczęście, jakie na nas spadło, w skutkach swych okazać się może o wiele groźniejsze. Galicya potrzebuje koniecznie spokoju i skupienia swych sił. Kardynalnym warunkiem takiego uspokojenia jest jednak to, ażeby społeczeństwo wyrobiło w sobie wiarę, że na czele naszych instytucyi finansowych, a przedewszystkiem Kasy oszczędności, której egzystencyę podtrzymał kraj cały kosztem tak znacznych ofiar, stoją ludzie uczciwi, rozumni i duchem obywatelskim przejęci i że nasze władze zarówno administracyjne jak i sądowe, spełnią w całej pełni swój obowiązek, że mianowicie pierwsze z nich postępować będą ściśle w myśl okólnika p. Namiestnika, a drugie stać będą czujnie na straży ustaw i będą postrachem zarówno dla tych, którzy fundusze publiczne już rozdrapali, jak i dla tych, którzy może mieliby ochotę pójść w ślady tamtych. Taką zresztą była wola Sejmu, gdy przed trzema miesiącami uchwalał gwarancyę kraju. Żądano wtedy nawet uchwalenia osobnej rezolucyi, wzywającej rząd, ażeby wszystkich, którzy, czy to bezpośrednio, czy pośrednio przyczynili się do ograbienia Kasy oszczędności, pociągnął do surowej odpowiedzialności, a tylko dla tego zaniechano jej uchwalenia, iż referent Dr. Biliński zapewnił, że to, czego rezolucya ta się domaga, rozumie się samo przez się a za granicą wywołałaby fatalne i bardzo nas kompromitujące wrażenie wiadomość, że w Galicyi potrzeba aż osobnej uchwały sejmowej na to, ażeby karano tych, którzy przywłaszczają sobie cudze pieniądze. Zrobiono więc dla kraju, dla podtrzymania jego dobrej sławy jeszcze i tę ofiarę, że aprobując w zupełności motywa owej przez włościańskiego posła Kramarczyka postawionej rezolucyi nie uchwalono jej jednak.

Od tego czasu upłynęło prawie trzy miesiące. W tym okresie ogólne uspokojenie powinno było zrobić znaczne postępy, powinno było sobie utorować drogę ogólne przeświadczenie, że teraz nastały zupełnie inne czasy, że to co dawniej uchodziło płazem, teraz spotka się z zasłużoną karą. Tymczasem zamiast takiego uspokojenia mamy nowy skandal, o którym wiadomość przedarła się już po za granice kraju i wywołuje w prasie zagranicznej nowe złośliwe uwagi o Galicyi. Mamy na myśli sprzedaż Myszyna i Dżurowa. Być może, że sprawa ta nie jest właściwym skandalem, że to tylko prasa nadaje jej przesadne znaczenie, a jednak z ataków prasy wymierzonych na nowy zarząd Kasy oszczędności, wkrada się w umysł czytelnika przykra myśl, że chociaż nie wszystko może ma się co do joty tak, jak dzienniki piszą, mimo to jednak sprawa ta nie jest całkiem w porządku. „Coś w tem wszystkiem przecie musi być“, — tak myśli sobie każdy czytelnik, a niestety te czynniki, na które włożono obowiązek uzdrowienia zachwianej w swych podstawach instytucyi i przywrócenia krajowi pożądanego spokoju, nie przedsiębiorą nic, coby mogło rozprószyć stanowczo nasuwające się wszystkim wątpliwości. Podniesiono np. w dziennikach, że syndyk Kasy oszczędności był swego czasu adwokatem p. Lityńskiego przy wydzierżawieniu gmachu Skarbkowskiego, a ze strony autorytatywnej nie zaprzeczono wręcz temu twierdzeniu.

Posypały się zarzuty, że kopalnie w Myszynie i Dżurowie sprzedano cichaczem, nie starając się nawet wybadać, czy nie dałoby się za nie uzyskać wyższej ceny, a w odpowiedzi na to pojawił się blady komunikat dyrekcyi Kasy oszczędności, zawierający tylko gołosłowne zapewnienia, że starano się o kupców, ale nie znaleziono ich i że inaczej jak postąpiono, nie dało się postąpić. Takimi środkami zaiste nie uspokoi się opinii publicznej, która chce dowodów, a nie tylko słów. Nie chcemy nikomu uwłaczać, i oświadczamy solennie, że nikogo o złą wolę nie posądzamy. Nie mamy więc p. Lityńskiemu za złe tego, że chciał zrobić dobry interes, ani p. Richtmanowi tego, że oburzył się na to, gdy mu ten interes z przed oczu sprzątnięto. Nie mamy za złe dyrekcyi Kasy oszczędności, że starała się jak najprędzej pozbyć tych kopalń, o których rentowności miała jak najgorsze wyobrażenie, zwłaszcza, że przerażona była kolosalnymi wydatkami dziennymi na pompowanie wody z kopalń. Nie chcemy także ani najmniejszego cieniu rzucać na postępowanie syndyka Kasy p. Dąbrowskiego, w którego prawość zupełnie wierzymy, ale wobec faktu, że są ludzie, którzy albo żywią przekonanie, że sprzedaż kopalń Szczepanowskiego odbyła się niezupełnie czysto i prawidłowo, albo dla agitacyjnych celów udają, że żywią takie przekonanie i ponieważ ferment ten jest i rozszerzany bywa nie drogą poufnych zwierzeń, lecz za pośrednictwem pism, rozpowszechnianych w tysiącach egzemplarzy, przeto uważamy, że czynniki stojące na czele społeczeństwa, posiadające jego zaufanie i sprawujące rodzaj moralnego nad krajem rządu, powinny takiej agitacyi nie lekceważyć i dla uspokojenia Galicyi położyć jej kres.

Że nowy zarząd Kasy oszczędności, składający się z zastępu ludzi o nazwiskach mniej lub więcej nieznanych, nie wystąpił z jakimś stanowczym krokiem, zdolnym od razu zamknąć drogę wszelkiemu dalszemu jątrzeniu i nowym paszkwilom na Galicyę, temu tak dalece się nie dziwimy. Zbyt krótko bowiem urzęduje on jeszcze, ażeby pozyskać ogólne zaufanie kraju do tego stopnia, iżby mu od razu uwierzono na słowo. Dziwi nas jednak niepomiernie to, że marszałek krajowy nie uznaje za stosowne rzucić swego głosu na szalę, lecz z prawdziwie olimpijskim spokojem przypatruje się temu, że Kasa oszczędności znów staje się źródłem jątrzenia i ogólnego zaniepokojenia. Sejm nadał mu przecież władzę prawie dyktatorską nad Kasą oszczędności, a uczynił to nie bez intencyi. Stoczono przecież dosyć zaciętą walkę o to, czy Wydział krajowy, czy też marszałek ma mianować zarząd Kasy i wykonywać najwyższy nadzór nad nią i tylko skutkiem przekonywających wywodów referenta p. d-ra Bilińskiego, iż zarówno dobro publiczne, jak i dobro Kasy oszczędności wymaga, by jedna osoba wykonywała władzę dyktatorską nad nią, przezwyciężono skrupuły autonomiczne i nadano marszałkowi osobiście tak rozległe atrybucye. Niechajże więc marszałek zabierze głos i oświadczy, że pewne pisma nieprawdę piszą, niech pod tem oświadczeniem swój podpis położy, albo niech wyznaczy komisyę obywatelską, któraby sprawę gruntownie zbadała i następnie niech ogłosi wynik jej dochodzeń, a wtedy kraj mu uwierzy i zamknięte zostanie nowe źródło jątrzenia i niepokoju. Mamy właśnie świeży przykład, jak bardzo przyczyniają się takie zarządzenia do uspokojenia opinii publicznej. Oto niedawno rozpuszczono pogłoskę o większych nieprawidłowościach w zarządzie funduszu propinacyjnego i na ten temat zaczęło się już było jątrzanie w prasie i w kraju. Namiestnik wydelegował komisyę, która sprawę zbadała, a po ogłoszeniu rezultatu przeprowadzonej przez nią rewizyi, ucichły od razu owe niepokojące pogłoski. Dyktatura, nadana marszałkowi przez Sejm nad Kasą oszczędności, nie jest bynajmniej nieodpowiedzialna i na przyszłej sesyi sejmowej powinien on przecież złożyć rachunek z tego, co zrobił dla uspokojenia kraju.

Skarby zaklęte w Tatrach.

W towarzystwie ludoznawczem przedstawił dr. Stanisław **Eljasz Radzikowski** wyniki swych studyów nad podaniami ludu tatrzańskiego o zaklętych skarbach, ukrytych w Tatrach. Prelegent zwiedził kilkakrotnie owe okolice tatrzańskie, do których od dawien dawna przywiązane są podobne wierzenia, a potrafiwszy pozyskać zaufanie górali, zebrał z opowiadań ich cenny materyał, przedstawiający jakie dziś w tej mierze krążą u ludu przekonania i wierzenia. Nadto prelegent badał źródła dziejowe, wertował kroniki, zbierał stare dokumenty polskie i inne, śledząc w ten sposób tradycyę tych wierzeń wstecz aż do 13 wieku, oraz szukając podobnych podań u innych narodów. Nader cenne są powynajdywane przez dra Eljasza-Radzikowskiego t. zw. „spiski“, t. j. opisy drogi, prowadzącej do miejsca, gdzie spoczywają ukryte skarby, oraz sposobu, jakiego przy poszukiwaniach trzymać się należy. Spiski te, jako nieocenioną spuściznę dla potomnych, wielu górali składało wraz z testamentami u notaryuszy, u których widział je prelegent.

Prawie wszystkie podania wskazują Żabie jeziorko, czyli Żabi staw wedle dzisiejszej nazwy, jako miejsce, w którem skarby są ukryte. Okolica ta dawniej należała do Polski, czego dowodzą nazwy miejscowe; dziś należy ona do terytoryum węgierskiego. Droga do Żabiego stawu prowadzi od węgierskiego miasta Kiezmarek; droga ta i dziś nie łatwa do przebycia, w dawnych czasach była jeszcze trudniejsza, zwłaszcza jeśli się zważy zawiłość opisów, których trzymali się poszukiwacze skarbów, oraz mnóstwo warunków, jakich trzeba było dopełnić, aby się wyprawa powiodła. To też wielu całe życie strawiło na szukaniu Żabiego stawu, a nie dotarło do niego nigdy.

Najstarszym dokumentem, opisującym drogę do skarbów ukrytych obok Żabiego stawu, jest opis niejakiego Piotra Wydzgi, zachowany u Długosza, który podaje, że pochodzi on z 13 wieku. Wedle opinii znakomitego znawcy staropolszczyzny, prof. Kaliny, opis ten zdaje się jednak pochodzić dopiero z 15 wieku. Podobne dokumenty doszły do nas z późniejszych czasów aż do 17 wieku. Oprócz opisów drogi podany w nich jest szczegółowo ceremoniał poszukiwania. Strój przepisany był taki: suknia czerwona powłóczysta, na głowie obrazek Matki Boskiej częstochowskiej na blaszce, w ręku różdżka z leszczyny, ścięta w dniu 25 marca. Poszukiwacz wystrzegać się musiał w ciągu drogi nietylko złych słów lub nieprzyzwoitych żartów, ale także złych myśli, tak samo jego towarzysz podróży lub przewodnik. Przepisane nadto były modlitwy, zaklęcia i wiele innych praktyk. Poszukiwaczy skarbów lud nazywał i nazywa do dziś „złotnikami“. Prócz tego niesie podanie, że co roku pojawiają się „czarnoksiężniki“, t. j. obcokrajowcy, którzy obładowują się skarbami, w Tatrach ukrytymi, i wynoszą je zagranicę. Najczęściej podają, że takimi czarnoksiężnikami są Włosi.

Pod koniec wieku 18 urzędowo zajmowano się temi podaniami. W r. 1768 powstała w Warszawie „komisya skarbowa“, umyślnie dla zbadania tej sprawy ustanowiona. W archiwum książąt Czartoryskich widział prelegent list Konstantego Jabłonowskiego, wojsk koronnych pułkownika, mennic królewskich inspektora, do tej komisyi skarbowej wystosowany, w którym opisano, jak to górnicy sascy sprowadzeni przez rząd polski do Tatr celem poszukiwania skarbów legendowych, byli napadani przez górali; autor listu proponuje, ażeby wysłano wojsko celem ochrony górników. Rzeczywiście za jego radą wysłano w tę okolicę oddział wojska polskiego. W r. 1775, już za rządów austryackich, pojawił się w czasopiśmie *Allergnädigst privilegirte Nachrichten aus denen k. k. Erbländern* artykuł, zastanawiający się nad tem, czy to prawda, że obcokrajowcy przybywają do Tatr i wywożą stamtąd skarby — co jest dowodem, jak bardzo rozpowszechnionem było owo mniemanie.

Dzisiaj wszystkie te podania i wierzenia również krążą wśród ludu tatrzańskiego, tylko, że ludzie kryją się z tem, i trzeba niezwykłem cieszyć się ich zaufaniem, ażeby coś o tem usłyszeć.

Przedstawiwszy w ten sposób osnowę tych podań, przeszedł prelegent do ich objaśnienia. Przedewszystkiem podniósł, że nie są one odosobnione, gdyż takie same legendy przywiązane są do Gór olbrzymich w Czechach, do gór niemieckich jak Harz, Fichtelgebirge, do rozmaitych okolic alpejskich i wielu innych. I tam także mniemano, że cudzoziemcy unoszą ukradkiem skarby, w górach ukryte, a najczęściej podejrzywano o to Wenecyan, zwanych w starych pismach „die Venediger“. Przybyły więc do nas te podania z zachodu, a wspólnem ich źródłem były wierzenia kabalistyczne, które w średnich wiekach w całej Europie się rozpowszechniły. Niejednokrotnie podania te znajdowały pozorne potwierdzenie. I tak w jaskiniach Tatr znachodzą się wyrysowane na ścianach znaki pochodzące z czasów przedhistorycznych t. zw. swastyki, które lud brał za znaki wyryte ręką „złotników“; podobnie starodawne kamienie graniczne z niezrozumiałymi znakami wprowadzały w błąd ludność miejscową. Niekiedy zdarzało się także, że rzeczywiście znaleziono ukryte jakieś kosztowności, tak np. przed 200 laty znaleziono złote naramienniki wężykowato zakręcone, pochodzące z doby przeddziejowej. Jeszcze przed 15 laty ktoś znalazł w tamtych okolicach skarb zbójecki.

Przedstawiwszy związek podań tatrzańskich o zaklętych skarbach z podobnemiż podaniami narodów ościennych, postawił prelegent pytanie, w czem się różnią nasze podania np. od niemieckich, naturalnie oprócz tego, że je zlokalizowano. Otóż różnicę widzi prelegent w tem, że taki Faust, lub Twardowski, który mimo polskiego nazwiska jest żywcem wzięty od Niemców, wchodzi w pakt z dyabłem, z siłą nieczystą, — zaś w Polsce nieczyniono tego nigdy, lecz wierzono, iż Pan Bóg dopomaga do zdobycia tych skarbów, a strzeże je tylko po to, ażeby jaki niepowołany nie zdobył ich i nie zrobił z nich złego użytku. W tem odbija się zdaniem prelegenta odmienny charakter obu narodów.

Odczyt swój, obfitujący w nader zajmujące szczegóły, jako to wiernie powtórzone opowiadania górali, wyjątki z starych rzadkich pism, opisy okolic tatrzańskich, wiadomości o ciekawych zdarzeniach prawdziwych i legendowych, zilustrował prelegent próbkami druków i rękopisów, o których wspominał, fotografiami krajobrazów tatrzańskich i okazami owych różdżek czarodziejskich, służących do odnajdywania skarbów. — Po odczycie zabrał głos p. Jan **Grzegorzewski** i wyraziwszy życzenie, ażeby także z innych okolic Polski zebrano kursujące tam podania o tych zaklętych skarbach, gdyż wówczas dopiero będzie je można zebrać w całość i pewne wnioski wysnuć — oponował przeciw zapatrywaniu d-ra Eliasza Radzikowskiego, jakoby wierzenia o skarbach i poszukiwania ich doszły do nas ze Wschodu chaldejskiego za pośrednictwem Arabów, żydów i ludów zachodniej Europy. P. Grzegorzewski mniema, że wyrosły one na gruncie rodzimym, że są zabytkiem aryjskiego kultu ognia. Rytuał, zachowywany przy poszukiwaniach skarbów — to szczątki obrzędów tego kultu. Poszukiwano dawniej skarbów nie materyalnych, ale duchowych, dopiero z czasem, gdy lud o dawnem czczeniu ognia zapomniał, interpretowano to sobie jako szukanie ukrytych skarbów. Wskazuje na to wiele okoliczności. I tak w rozmaitych okolicach Polski, np. w Poznańskiem, gdzie nie ma śladu gór, takie same istnieją wierzenia; kwiaty i rośliny, które grają rolę w tych gusłach, to szczątki dawnych wierzeń animistycznych: każdej takiej roślinie odpowiadało pewne bóstwo, jak marzanna, dziewanna, sporysz, rokita itp. Paproć, która we wszystkich zaklęciach tak wielkie ma znaczenie, zwie się u Słoweńców wprost *Perunov cvet*, a i polska nazwa ma pierwiastek *per*, przez duplikacyę wzmocniony; rdzeń *per* wskazuje na to, że ta roślina była godłem oczy-

szczającego żywiołu ognia. Również lipa i leszczyna były u Słowian świętemi drzewami; owe różdżki są zabytkiem tych różdżek z czasów pogańskich, które potrzebne były do wszystkich czynności religijnych. Tak samo owa czerwona suknia przypomina jakiś strój kapłański.

Nie zgadza się również p. Grzegorzewski z prelegentem co do zapatrywania, jakoby Polacy nie uznawali złej siły obok siły dobrej i utrzymuje, że podobnie jak u Persów i u pierwotnych Aryjczyków, tak samo i u Polaków istniał dualizm, i czczono zarówno pierwiastek złego jak i dobrego.

Dr. Eljasz Radzikowski w krótkiej replice obstawał przy swoim poglądzie, twierdząc, że wierzenia ludności tatrzańskiej w skarby zaklęte nie mają związku z starodawnemi wierzeniami pogańskiemi, lecz że dostały się do nas z zachodu i że są wypływem kabalistyki średniowiecznej. Na tem dyskusyę zamknięto.

„Król walca".

Gdy podczas jubileuszu czterdziestolecia działalności artystycznej Jana Straussa jakiś cudzoziemiec zapytał Hanslicka:

— Czy Strauss jest już stary?

— Bynajmniej — odpowiedział słynny krytyk — ma tylko czterdzieści lat więcej, aniżeli w dniu 15-ym października 1844go roku w którym po raz pierwszy wystąpił w Hietzingu (przedmieście wiedeńskie) „bei Dommayer". jako dziewiętnastoletni dyrektor orkiestry i kompozytor walców. A jeśli pan nie wierzysz memu słowu, to posłuchaj dawniejszych i dzisiejszych walców Straussa...

Czy ów cudzoziemiec dosłuchał się różnicy nastroju między pierwszemi a ostatniemi walcami, o tem kroniki wiedeńskie przemilczały. To tylko pewna, że „cały Wiedeń", przytomny uroczystości jubileuszowej, wyspiewywał z lubością melodye tych i tamtych walców, w takt pałeczki dyrektora kiwał tysiącami głów na trzy czwarte, przytupywał w fortissimach, falsetował wszystkiemi rodzajami głosu ludzkiego w pianissimach i namiętnych rallentandach, jakby pragnął dowieść, że się z walcami mistrza ulubionego zżył, że wszystkie jednako w swej pamięci pielęgnuje, wszystkiemi jednako zachwyca się, upaja.

I rzeczywiście, prócz Aubera, historya muzyki nie zna ani jednego może kompozytora, któryby, jak Strauss, umiał opierać się skutecznie wpływowi czasu i, nie ugiąwszy się pod brzemieniem lat, do późnej starości dochował świeżość umysłu, energię, werwę siarczystą i temperament młodzieńczy.

„Wino, kobieta i śpiew" — oto dewiza jego przewalcowanego żywota. W myśl tej dewizy postępował zawsze i stale: i wówczas, gdy swą kruczą czupryną prószył oczęta sentymentalnych wiedenek, i wówczas, gdy tę czuprynę czas prószył mu nawzajem szronem srebrzystym.

Można powiedzieć o Straussie, że prześpiewał i przetańczył swe życie. Płakał tylko w latach młodzieńczych.

A miał czego płakać. Jego ojciec, Jan Iszy z dynastyi Straussów, ów słodki twórca słodziuchnych walczyków, jako ojciec rodziny, był tyranem i despotą brutalnym. Gnębił żonę, gnębił dzieci, zwłaszcza Jana, który od lat pacholęcych wielką objawiał skłonność i nadzwyczajne uzdolnienie do muzyki. Stary jednak dziwak ani chciał słyszeć o tem, żeby jego syn miał poświęcać się muzyce wyłącznie.

Dlaczego tak postępował? — niewiadomo. Jedni mówili, że z głupoty, drudzy zaś, że z zazdrości.

Nie mogąc zwalczyć uporu ojca, nie mogąc dotrzeć do celu drogą prostą, przyszły „król walca" postanowił dotrzeć ścieżkami ubocznemi. Ślęczał pokryjomu nad partyturami i teoryą muzyczną, wygrywał zawzięcie na skrzypkach pod nieobecność „starego", aż nareszcie, zebrawszy cichaczem małą orkiestrę, wystąpił w Hietzingu dnia 15go października 1844go roku w charakterze... rywala własnego ojca-tyrana, i jako dyrektor, i jako kompozytor walców.

Wystąpił i zwyciężył na całej linii. Dwa pierwsze walce, wówczas wykonane: „Gunstwerber" i „Sinngedichte", oraz polka „Herzenslust" zdumiały i oczarowały wszystkich. Cały Wiedeń unosił się nad świeżością i namiętnością melodyi młodego Straussa, oryginalnością formy walców, o wiele kunsztowniejszej od tej, jaką posiadały utwory Lannera, Labitzkiego i starego Straussa, zarazem nad niepospolitym jego talentem dyrektorskim.

Wkrótce po tym debiucie, zorganizowawszy orkiestrę i wyćwiczywszy doskonale, puścił się z nią na wędrówkę artystyczną; wygrywał swe walce w Paryżu, Londynie, Berlinie, Petersburgu, w New-Yorku i t. d., a wszędzie „uszczęśliwiał tłumy i zaciekawiał muzyków najpoważniejszych".

Syt sławy i mamony, oddał w 1863-im r. swą kapelę braciom Józefowi († w Warszawie 1870 r.) i Edwardowi, sam zaś poświęcił się muzyce operetkowej. Nie zerwał jednak zupełnie z muzyką taneczną, lecz tylko swe państwo, w którem panował, jako „król walców" pod imieniem Jana II-go, przekształcił, i despotyzm „taktu trzyćwierciowego przez konstytucyę ograniczył!"

Bo i w jego operetkach rytmy taneczne rej wiodą, jak wodziły w salach balowych, tylko że uszlachetnione harmonią więcej staranną, formą więcej rozwiniętą i wdzięczną instrumentacyą, przedstawiają się bardziej symfonicznie, bardziej po operowemu.

Pierwsza jego operetka „Indygo" (1870) udała mu się w połowie tylko. Strona dramatyczna partytury robiła tu jeszcze wrażenie młodej dziewczyny, którą po raz pierwszy ubrano w długą sukienkę i zaprowadzono na bal publiczny. Występowała nieśmiało, lękliwie, jakby się bojąc, żeby jakimś silniejszym akcentem nie zwróciła uwagi na siebie. Ale za to namiętne rytmy galopad, polek, a zwłaszcza walców, pozawracały głowy wszystkim.

„Karnawał w Rzymie" (1873) był ostatnią próbą jeneralną, „Fledermaus" („Zemsta nietoperza", 1874 r., przerobiony dla Paryża na „Cygankę" w 1877 r.) pierwszem przedstawieniem talentu Straussa w nowej fazie jego twórczości, przedstawieniem przygotowanem już dokładnie.

Po „Indygu" dworowano sobie jeszcze potrosze ze Straussa zarówno w Wiedniu, jak Berlinie; po „Zemście", której krytyka i ogół przyznały tytuł arcydzieła, składano mu już hołdy, jako ideałowi kompozytora muzyki popularnej, utrzymanej w stylu pośredniczącym między płochliwą farsą muzyczną a lekką operą komiczną.

Nawet Paryż, po wystawieniu „Indyga" i „Cyganki" („Nietoperz" z innem librettem) na scenie teatru Renaissance, odbiegł swego bożka, Offenbacha, by odtąd skakać w takt walców straussowskich. Poprostu melodye wesołego mistrza wiedeńskiego oszołomiły wszystkich, poczynając od prezydenta rzeczypospolitej, który mu podczas festynu, urządzonego w salach Wielkiej opery na cześć „dzielnego rywala" Offenbacha, udzielił oznak orderu legii honorowej, a skończywszy na krytyce, która jego muzyce przypisywała władzę niemal nadprzyrodzoną.

„Operetka Straussa — pisze Paweł St. Victor — to tryumf walca, który owija się bluszczem wokoło całej partytury A partytura operetki, to tarantela bez końca, melodye — to piruety. Jej rytmy skaczą, jej strofy i antystrofy krzyżują się jak figury kadryla Ta muzyka taneczna umie wszelako i śpiewać; melodya tryska z niej jak ze świeżego źródła, wdzięczna, elegancka, która nawet w szale pustoty nie zawadzi o trywialność grotesku. Wielkim pląsem pomyka się ona naprzód bez końca, a czasem, o srebrnym blasku księżyca, wzbija się aż w lazurową krainę sennych marzeń. To mała czarodziejka, która to wsysa, co pszczółkę upaja, która bawi się w gronie elfów i gnomów figlarnych, i zanurza się cała w serdecznej wesołości, aby wzbić się znów w górę, z chwilą kiedy mogłaby przejść w farsę trywialną, albo zmysłową orgię".

Po „Zemście" przyszły: „Cagliostro", „Książę Matuzalem", „Chusteczka królowej", „Wesoła wojna", „Noc w Wenecyi", „Baron cygański", „Symplicyusz" i wiele innych.

Jedne z nich były więcej udatne, drugie mniej; wszystkie jednak posiadały mnóstwo melodyi płynnej, lekkiej, oryginalnej i dowcipu; ze wszystkich tryskało zdrowie i humor rzetelny; we wszystkich kipiało życie, szumiała młodość, wrzała namiętność rozkoszna.

Płodność kompozytorska Straussa była zadziwiająca. Wogóle napisał około 500 utworów, przeważnie tańców. W walcach naśladował z początku swego ojca, z biegiem jednak czasu urobił formę własną i styl własny, oddzielne części walca znakomicie rozszerzył, opatrzył harmonią wykwitną, przystroił w bogatą szatę instrumentacyjną, niekiedy nawet świecidełkami kontrapunktu swobodnego przyozdabiał, nadając tym sposobem skromnej dotąd formie walca znaczenie poemaciku muzycznego.

Jak produkcyjność, równie i pracowitość Straussa wzbudzała podziw. Przez dwadzieścia pięć lat wygrywał na balach, niekiedy na czterech w ciągu jednej nocy, komponował w przerwach balowych, w dorożce, na spacerze, w czasie rozmowy na sali balowej, gdzie się zdarzyło. Mówią, że w ciągu 25-ciu karnawałów ani jednej nocy nie przespał spokojnie; mimo to zawsze był rzeźki, zawsze niewyczerpany w dowcipach, niestrudzony w pracy.

Pod względem popularności żaden inny kompozytor równać się nie może ze Straussem. Nie ma może takiego zakątka na obu półkulach globu ziemskiego, gdzieby nie rozbrzmiewały urocze melodye jego walców, a zwłaszcza przesławnego „Nad pięknym modrym Dunajem", o którym powiedział Hanslik, że po hymnie narodowym Haydna najulubieńszym, najpopularniejszym stał się hymnem ludów Austryi; że temat tego walca przemawia do duszy Austryaka o wiele silniej, aniżeli najsilniejsze słowa największego mówcy, że „*An der schoenen blauen Donau*", to marsylianka pokoju politycznego, bez słów, a tak wymowna.

Jak wielką była popularność Straussa, jak ważnym czynnikiem jego muzyka w życiu powszedniem przeciętnego wiedeńczyka, o tem świadczy fakt autentyczny, bo zaświadczony przez samego Straussa:

Na jakiemś przedmieściu Wiednia mieszkała skromna obywatelka, która, choć niezamożna, zdołała zaoszczędzić i zebrać sobie mały fundusik. Umierając, zastrzegła w testamencie, żeby kapela Straussa odegrała na jej pogrzebie... ulubionego przez nią walca, na co przeznacza po dukacie na każdego z grajków.

Dziwne to żądanie zakłopotało spadkobierców; tego rodzaju „Requiem" zdawało się urągać poczuciu ich religijnemu.

Ale Strauss innego był zdania. W godzinie, na klepsydrach zaznaczonej, stawił się osobiście wraz z kapelą w pełnym komplecie, w mieszkaniu nieboszczki. Kiedy duchowieństwo żałobną ceremonię ukończyło, kapela Straussa otoczyła trumnę, on sam ujął skrzypce, dał znak — i orkiestra odegrała walca ze wszystkiemi facecyami dynamicznemi i rytmicznemi, od początku do końca; poczem zwłoki wielbicielki Straussa poniesiono na miejsce wiecznego spoczynku

Weselej przejść z tego padołu płaczu do krainy wieczności, chyba już niepodobna!

Jakże ten fakt pysznie charakteryzuje nadzwyczajną popularność Jana Straussa, owego bożka muzyki tanecznej, którego świątynią była sala balowa, a sługami ołtarza tancerze i tancerki. Owego Beethovena ludowego, w którego żyłach, miasto krwi, krążył szampan szumiący, a serce wypełniała lawa wrząca.

Przed kilku dniami zamknął oczy na wieki. On, który „uszczęśliwiał tłumy", on, który w takt swych walców uroczych poruszał legionami lubiących pociągać z rozkoszy kielicha, dziś w zimnym już grobie spoczywa.

Z izby sądowej.

(Sprawa tłumacka).

Lwów 12 czerwca

Wreszcie dzisiaj popołudniu przystąpiono do przesłuchania świadka p. Emila Filipa Jahna, człowieka, który w sprawie tłumackiej odegrał wprawdzie tylko bierną rolę, ale do tego stopnia bierną, że stał się najważniejszą figurą w procesie. Zanim się świadek pojawił w sali, odczytał przewodniczący „parere" dwóch lekarzy stanisławowskich drów Richtera i Wiślickiego, uznające Jahna za niedołężnego na umyśle. Odczytanie tego dokumentu, chociaż zarządzone z wyłącznie proceduralnych powodów, podziałało na licznie zebrane audytoryum jak zręczne „coup" efekcisty teatralnego, który chcąc wprowadzić w swojej sztucze ważną osobę, wprzódy wywołuje odpowiedni nastrój. Bo też i tenor owego „parere" zupełnie się do tego nadawał. Obaj eskulapowie szeroko się rozwodzili nad dziedzicznem obarczeniem w rodzinie Jahnów, wymieniali rozmaite stopnie niedołęstwa umysłowego, z których najwyższy jest taki, że może dotyczyć i osób, piastujących znaczne godności. Była tam także mowa o samogwałcie, zaniedbanem wychowaniu, nerwowem podnoszeniu rąk i nóg, nieprawidłowych nagłych wykrzykach itp. a w końcu konkluzya, że Jahn, jako człowiek zupełnie niesamodzielny, łatwo uległ namowom pierwszego lepszego pochlebcy.

Potem wszedł do sali p. Jahn, kłaniając się w sposób bardzo dystyngowany i skromny trybunałowi, sędziom przysięgłym i adwokatom.

W powierzchowności jego na pierwszy rzut oka trudno zauważyć coś wyjątkowego: widzimy tylko człowieka niskiego wzrostu, rysów twarzy sympatycznych i obdarzonego ładnym, prawdziwie szlacheckim wąsem. Jeżeli się jednak o nim tyle niepochlebnego słyszało, mimowoli wyszukuje się jakieś szczegóły fizyognomistyczne, odpowiadające tej charakterystyce, którą o Jahnie podawali świadkowie; szczegółami takimi byłyby więc od biedy: oczy, trochę wyłupiaste i mało ruchliwe, nos duży a trochę zadarty, oraz wydatna dolna warga. Ale takie cechy posiada także wielu ludzi, o których sprycie i rozumie nikt nie powątpiewa.

Tylko głos świadka możnaby uważać za cechę wyjątkową: pozbawiony timbru, powolny, dziecinny prawie, a czasami piskliwy.

Obrońcy sprowadzili sobie dwóch stenografów sejmowych, w celu dosłownego spisywania zeznań p Jahna. Dla nich bowiem każde słowo, wypowiedziane przez tego człowieka, logiczne powiązanie myśli, sposób wyrażania się itd. może mieć znaczenie, gdyż o ile możności pracują oni nad wykazaniem tego, że Jahn jest w pełni swoich sił umysłowych i na interesach się dosyć rozumiał, a nadto mają go prawdopodobnie w podejrzeniu, że pewna część jego nieudolności może być sztucznie wyuczona.

Pytania, które zadawał przewodniczący świadkowi, dotyczyły wprawdzie zawsze samego przedmiotu, przytem jednak były one tak zgrabnie chociaż zarazem z takim taktem stylizowane, aby świadkowi zostawić o ile możności jak najwięcej terenu do naturalnego eksponowania swoich władz umysłowych. Dał więc najprzód Jahn w krótkości swoje *curriculum vitae*. Ojciec jego był rentjerem i posyłał go za młodu do szkoły. Emil doszedł do 3 klasy gimnazyalnej i na tem jego studya gimnazyalne utknęły, bądź to wskutek chorób (innych jednak chorób oprócz kokluszu i kaszlu świadek sobie z tej epoki nie przypomina) bądźto wskutek tego, że nauka nie szła, do czego się świadek przyznaje całkiem otwarcie. Chciał się potem przerzucić do szkoły realnej, ale w końcu dał nauce za wygranę. Tak się to ciągnęło do 21 roku życia świadka. „Za to — powiada p Jahn — uczyłem się w domu języków: polskiego, niemieckiego i francuskiego, którego nie mam wprawdzie w używaniu — no! ale rozumiem go na tyle, że sprzedać po francusku bym się nie dał!"

Przew. To jeszcze kwestya, bo kto się dał sprzedać po polsku... (Wesołość na sali, której świadek wtóruje).

Ponieważ ojciec świadka przy końcu życia kupił dobra, zamierzył syna zaprawić do gospodarstwa i w tym celu posłał go do stryja na wieś. Stryj wyjeżdżał z młodym Emilem w pole, aby się przypatrywał, jak orzą, posyłał go rozdawać kwity i t. d. Pożytek z tego był mały, bo Emil nie miał zamiłowania do gospodarstwa. Świadek i o tem opowiada bez zająknienia. „Potem—powiada — powstały nieporozumienia między moim ojcem a stryjem, który utrzymywał, że ja nic nie korzystam i tak wróciłem do domu".

Kiedy świadka ojciec odumarł, liczył on lat 28. Zostawił mu dobra wartości miliona zł. i 400.000 w papierach.

Przew. Czy pan wtedy liczył te papiery, gdy pan je odbierał?

Św. Prawdopodobnie musiałem je wtedy liczyć, ale teraz nie pamiętam. — Po śmierci ojca jakiś czas sam rządziłem, przyczem dopomagał mi mój kuzyn. Wkrótce przyjechał do mnie mój sąsiad p. Doszot, wyraził mi swoją kondolencyę i pytał, co zamierzam teraz robić? Wtedy powiadam: „Zacznę gospodarować". „Ale pan nie masz do tego studyów, ani zamiłowania, jak pan sobie da radę?" „No to najprzód zapłacę trochę, nim to pojmę, ale spróbuję! „To będzie dużo kosztować, niech pan lepiej kogoś weźmie, na którym pan będzie mógł tak polegać jak na sobie samym" odrzekł p. Doszot i poradził mi przyjęć na dyrektora dóbr p. Gumińskiego P. Gumiński przyjechał, jeździłem z nim po folwarkach, on z początku chwalił, że wszystko dobrze idzie, że będą duże dochody"...

Tu świadek utknął, gdyż widocznie w opowiadaniu swojem doszedł do punktu, od którego sam dalej nie umiał ruszyć, domyślając się, że teraz powinienby wejść na właściwy teren rozprawy.

Przewodn. Proszę pana opowiadać dalej.

Swiadek. Kiedy ja nie wiem, co mówić...

Przew. Czy pan wie, o co w tej całej rozprawie chodzi?

Swiadek. Chodzi o to, że mój majątek jest stracony.

Przew. To jest dopiero konsekwencya tych faktów, które są przedmiotem rozprawy. Rozchodzi się o to, że pana oszukiwano, sprzedawano panu jakieś udziały...

Swiadek. Aha, o fabrykę.

Przew. To niechże pan nam mówi o tej fabryce. Jak ją założono?

I świadek zaczął opowiadać o założeniu fabryki w sposób zrazu mniej więcej taki, w jaki się w elementarzach opowiada o założeniu Krakowa lub innych faktach historycznych: „Naprzód przyszedł jeden żydek i powiedział, że zagraniczni panowie chcieliby założyć cukrownię w Tłumaczu i t d." Wogóle jednak w dalszym opowiadaniu pokazało się, że Jahn pamięta tok faktów, opowiada je jednak zanadto popularnie, t. j. widocznie tak jak mu się one przedstawiały, nie wymienił bowiem ani razu takiego szczegółu, którylby wskazywał na to, że on miał jakieś pojęcie o tym całym aparacie badań i przygotowań handlowo-technicznych, które poprzedzają rozpoczęcie przedsiębiorstwa fabrycznego. Zasłyszał tylko słowo „partycypować" (nb. w przedsiębiorstwie) i powtarzał je kilka razy z widoczną satysfakcyą. Pewne zdziwienie wywołało także zeznanie takiego szczegółu, jak ten, że maszyny robiono specyalnie do budynku oddanego pod fabrykę; ponieważ się po świadku bardzo mało spodziewano, przeto każde jego zeznanie więcej skomplikowanej natury budziło małą sensacyę

Skoro jednak przyszło do roztrząsania kwestyi udziałów, dlaczego je wpisano w księgi do takiej a takiej wysokości, dlaczego je potem powiększono i t. d., świadek z widocznem wytężeniem dotrzymywał swymi odpowiedziami kroku pytaniom przewodniczącego, wciąż musiał przyznawać, że tego nie rozumie a tamtego nie pamięta. Pamięta tylko z pewnością, że do odkupienia udziału od dra Howurki namawiali go i Howurka i Gumiński — zeznanie dla osk. Gumińskiego bardzo obciążające. Wprawdzie Gumiński w myśl swego tłómaczenia się przy rozprawie zapytał świadka:

„Prawda, że mówiłem wtedy: „Jak pan chcesz, to kup pan ten udział, jak nie, to nie, może być zysk, może być i strata". Czy tak nie było?"

Świadek tem i innemi tego rodzaju specyalnemi pytaniami dawał się zrazu zbijać z tropu, potem jednak z pewnym odcieniem niecierpliwości powiedział jeszcze raz stanowczo, że go Howurka i Gumiński namawiali.

Opowiadając o fabryce wspomina świadek o tem, że się z niej chciano pozbyć Mazika, kiedy mu zaś przewodniczący przedstawia, że to zapewne chodziło o Voltera, świadek potakuje i w końcu nie wie, kogo się właściwie chciano pozbyć. A gdy mowa była o kontrakcie z drem Howurką co do udziału we fabryce, świadek myślał pewien czas, że go wypytują o kontrakt co do pełnomocnictwa Howurki, a więc o rzecz i co do czasu i co do istoty swojej bardzo odległą od właściwego przedmiotu pytania.

Następnie pytano świadka o weksle, które podpisywał dla fabryki.

Przewodniczący. Czy pan wie, co to jest weksel?

Swiadek. To jest taka pożyczka, której się nie spłaca od razu, ale pisze się na takim stemplowanym papierze.

Dalej zeznaje świadek, że weksle do podpisu przynoszono mu „czasami codziennie, czasem co drugi dzień". On je podpisywał, mając ślepe zaufanie do Gumińskiego.

Przewod. Dużo pan tych weksli puścił w świat?

Swiadek. Nie wiem, bo nie miałem spisu. Prosiłem wprawdzie Voltera, żeby mi ten spis zrobił, ale jakoś doprosić się nie mogłem.

Świadek wogóle obudził na sali dla siebie żywe współczucie, jako dla ofiary lekkomyślności czy też wyzysku, a obecnie ciekawości ludzkiej, do współczucia zaś tego przyczyniła się w znacznej mierze pewna słodycz, uprzejmość i dobrotliwość, bijąca z jego postaci i z całego jego zachowania się.

Rozprawę przerwano do wtorku do godziny ½9 rano.

13 czerwca.

Dzisiejsze przesłuchanie świadka toczy się w takiem samem tempie jak wczorajsze. Przewodniczący bardzo powoli wydobywa z niego zeznania, które chociaż niedokładne i często sprzeczne z faktycznym przebiegiem sprawy — świadek wogóle zdaje się mniej wiedzieć o tej sprawie niż ci, którzy się procesowi od kilkunastu dni przysłuchują — mimo to w niektórych punktach są tak naturalne i szczere, że się nareszcie zaczyna mieć pojęcie, jak to tam właściwie było.

O interesach fabryki słyszał świadek zawsze tylko tyle, że cukier tanieje lub drożeje. Zawsze mu mówiono, że fabryka warta jest milion — nawet w jej początkach. Miał podpisywać weksle tylko do wysokości 100.000 zł., mimo to podpisywał ich potem znacznie więcej, nie mając wyobrażenia o tem, ile tam tego razem było i nie śmiejąc się pytać, dlaczego ma tyle podpisywać.

Potem znowu przyszła na tapet sprawa odkupna udziału od Howurki. Jahn powiada najprzód, że dr. Howurka interesował się fabryką jeszcze zanim zaczął handlować udziałami, przychodził na sesye zarządu fabryki i zabierał głos. A więc w tym punkcie zeznał Jahn co innego niż dr. Howurka, który mówił, że w interesie fabryki zaczął się dopiero przyglądać uważnie od chwili, kiedy kupił udziały. Za ile Howurka kupił udziały od Mazika, tego Jahnowi nie mówił.

Przew. Czy gdyby pan kupował udział, byłby pan to uczynił bez zasiągania rady Gumińskiego?

Św. Nie.

Następnie usiłował przewodniczący rozjaśnić tę niezmiernie ważną dla całej rozprawy kwestyę, jakie właściwie Jahn miał pojęcie o swoich licznych świadczeniach dla fabryki, czy uważał je za swój udział, a w następstwie tego fabrykę za swoją własność, czy też uważał je za długi fabryki wobec niego. Ale świadek dawał rozmaite sprzeczne odpowiedzi lub też przyznawał odrazu: „na to nie zdołam odpowiedzieć". Ostatecznie sformułował rzecz tak, że owe 800 000 zł. długu fabryki uważał przecież za swój udział, ale bał się, czy to nie będzie za wielkie ryzyko.

Przew. Powiedział pan wczoraj, że myślał pan, iż przez wykupno udziałów stanie się pan właścicielem fabryki. Czy to była pańska własna myśl, czy ją panu kto poddał?

Św. To trudno powiedzieć. Ja bezwarunkowo myślałem nad tem, ale przypuszczam, że myśl nie była moja własna, zapewne poddał mi ją p. Gumiński.

Potem p. prokurator zaczął świadka wypytywać i dowiedział się, że świadek nie wiedział o tem, iż inni wspólnicy pobrali w pierwszych latach 5% od swych udziałów. — Fabryki nigdy nie uważał świadek za wyłącznie swoją, nie mówił o niej „moja fabryka" lecz „komandytowa fabryka".

Powstała także kwestya, czy wyjazd Jahna do Wiednia w celu wzięcia udziału w konferencyi nad założeniem fabryki nie był tylko komedyą. Odczytano mu tam kontrakt spółki, kazano podpisać — ale pokazało się, że odczytano go po niemiecku i że z powodu wyrażeń technicznych w kontrakcie przychodzących Jahn nie miał dobrego pojęcia, o czem tam była mowa.

Obrońca Howurki, dr. Aschkenaze, był przeciwnego zdania i dla udowodnienia, iż Jahn rozumie dobrze po niemiecku, zadał mu kilka pytań w tym języku. Jahn zrozumiał, i starał się odpowiadać też po niemiecku — ale robiło to wrażenie lekcyi, przy której guwerner tępemu uczniowi pomaga, pomaga, a kiedy dopłyną do końca, mówi: „A no widzisz! przecież potrafisz".

Ponieważ świadek kilka razy dał wyraz temu, że Gumińskiemu bezwzględnie ufał, obrońca Gumińskiego zadał świadkowi następujące pytanie:

— A gdyby był Gumiński podsunął panu cesyę, na mocy której pan byś miał jemu odstąpić majątek, czy pan by się na to zgodził?

Św. Ale on mi tego nie proponował. (Wesołość).

Pokazało się dalej, że referaty, które miewał Jahn w Radzie powiatowej były mu oddawane, ale już gotowe; jakich spraw dotyczyły, tego świadek absolutnie nie pamięta.

„Czemże pan się zajmował cały dzień?" — pyta jeden z wotantów.

Św. Urządzaliśmy teatr amatorski, brali w tem udział i oficyaliści.

„Co pana więcej bawiło, czy przedstawienia, czy sesye?"

Św. No, mnie przedstawienia bezwarunkowo więcej bawiły. (Wesołość).

Sędzia przys. br. Horoch. Czy Pan wiedział, że jako komandataryusz odpowiada pan za weksle nietylko wkładką we fabryce, ale i majątkiem własnym? Dlaczegoż pan podpisywał weksle po nad 100.000 złr.?

Świadek nie umie dać odpowiedzi na to pytanie.

Rozprawę przerwano do godz. 3½ po południu.

* * *

Nowy Sącz 11 czerwca.

(Podpalenie karczmy.)

Rozprawa przeciw małżonkom Kemplerom o podpalenie karczmy p. Władysława Zamoyskiego w Groniu, skończyła się tu wczoraj wieczorem Na podstawie werdyktu przysięgłych, potwierdzającego dziewięciu głosami zadane im pytanie co do winy oskarżonej Chany Kemplerowej i zaprzeczającego pytaniu co do winy oskarżonego Wolfa Kemplera, wydał trybunał wyrok skazujący Kemplerową na dziesięć lat ciężkiego więzienia, a uwalniający Kemplera od wszelkiej odpowiedzialności karnej. Kemplera wypuszczono zaraz na wolność, Chana zastrzegła sobie trzy dni do namysłu.

KRONIKA.

Lwów 13 czerwca.

Wiadomości urzędowe. Krajowa Rada szkolna zamianowała nauczycielami w szkołach ludowych: Jana Odrębskiego w Jarosławiu, Emilię Neuwirthównę i Maryę Konstankiewiczównę starszemi w Lisku, Pawła Bochenka st. w Gorlicach, Henryka Michalskiego star. w Wieliczce, Leokadyę Krzyczkowską młodszą w Jabłonowie, Juliana Lubowieckiego starszym w Kołomyi, Jana Smołkę młodszym w Wieliczce, nauczycielami szkół 1-klasowych: Helenę Adwentowską w Zakliczynie, Jana Soczyńskiego w Dawidkowcach, Michała Korzeniewicza w Kamionkach małych, Józefa Osadę w Piątkowej, Włodzimierza Czaukę w Jaryczowie starym i Paulinę Brzostowską w Koźmicach wielkich.

Cesarz udzielił sankcyi uchwalonemu przez Sejm gal. projektowi do ustawy o podwyższeniu podatków gminnych od napojów gorących, od piwa i miodu, oraz projektowi do ustawy o udzieleniu gminie m. Jarosławia zezwolenia na pobór opłat od licencyi policyjnych na rzecz funduszu ubogich.

Starsi komisarze powiatowi. Włodzimierz Bogucki, Mikołaj Pokiński i Antoni Szydłowski mianowani zostali starostami dla Galicyi.

Honorowe obywatelstwo nadało miasto Szczerzec p. Romanowi Aleksiewiczowi, radzcy sądowemu w Uhnowie, za zasługi położone około rozwoju Szczerca.

Odznaczenie Polaka. Inspektor ogrodów i plantacyi warszawskich, redaktor *Ogrodnika Polskiego*, p. Franciszek Szanior, otrzymał na wystawie ogrodniczej w Petersburgu złoty medal.

Zjazd koleżeński. Otrzymujemy następujące pismo: Upraszamy naszych kolegów, a byłych uczni gimnazyum bernardyńskiego (Franciszka Józefa), którzy w r. 1869 ukończyli tam nauki, ażeby podali koledze Henrykowi Kadyemu dokładne adresy swego teraźniejszego pobytu. Nasz zjazd koleżeński odbędzie się we Lwowie 2 lipca 1899. Na ten zjazd zaprosiliśmy każdego z kolegów osobnem pismem. Na wypadek, gdyby który z kolegów pisma tego nie otrzymał, zechce to ogłoszenie za zaproszenie uważać, a po bliższe informacye zgłosić się do kolegi rektora uniwersytetu prof. dr. Henryka Kadyego we Lwowie, ulica Zielona 15. *Henryk Kadyj, Godzimir Małachowski, Justyn Lang, Karol Sklepiński.*

Lekarki polskie w Bośnii. Rząd krajowy w Bośnii mianował pannę dr. Jadwigę Olszewską prowizorycznym lekarzem rządowym w Dolnej Tuzli, panią dr. Gizelę Kuhn lekarzem rządowym w Banialuce, a lekarkę dotychczasową w Dolnej Tuzli dr. Teodorę Krajewską, przeniósł do Serajewa.

Ślub. W sobotę w kościele polskim w Wiedniu odbył się ślub pani Maryi z Kałusserskich, primo voto Wiktorowej Klobassa-Zrenckiej — z Stefanem hrabią Gotzendorff-Grabowskim, rezerwowym porucznikiem dragonów pruskich, właścicielem Polanki pod Krosnem w Galicyi. Panią młodą prowadził do ołtarza p. August Gorayski, a pana młodego hrabianki Gotzendorf-Grabowska i Mos czeńska. Błogosławieństwa udzielił młodej parze ks. kanonik Janicki z Jedlicza. Państwo młodzi zamieszkają na stałe w Polance.

Rada m. Lwowa na wczorajszem poufnem posiedzeniu przyjęła do związku gminy pp. Jana Sysaka, Bolesława Długoszewskiego, Stanisława Deca i Wincentego Chwojkę. Przyrzeczenie przyjęcia do gminy dla uzyskania obywatelstwa otrzymali pp. ogrodnik Józef Szychowski, kleryk OO. Karmelitów Józef Podbielski, rzeźbiarz Perier, literat Wojciech Szukiewicz i porucznik Fryderyk Strasser. Prezentę na dyrektorkę szkoły żeńskiej im. Czackiego otrzymała p. Karolina Oberhardtowa, kierowniczka filii tej szkoły. Stypendyum z fundacyi miejskiej im. Rudolfa przyznano Stanisławowi Dąbrowskiemu, uczniowi szkoły realnej, sierocie po studziennym miasta, a stypendyum sierocińskie do szkoły ogrodniczej Andrzejowi Andrzejowiczowi, wychowankowi zakładu miejskiego. Na dwa stypendya z fundacyi Głowińskiego przedstawiono Wydziałowi krajowemu uczniów gimnazyalnych: Franciszka Orzechowskiego i Kazimierza Kruga.

Gr. kat. probostwo w Rybnie otrzymał ks. Julian Herasymowicz, proboszcz w Filipkowcach.

Konkursa rozpisują: Wydział powiatowy w Starem mieście na posadę lekarza okręgowego w Starej soli. Pobory 864 zł. Termin do 15 lipca. — Wydział powiatowy w Kołomyi na posadę lekarza okręgowego w Jabłonowie z poborami 1000 zł. Termin do 1 lipca.

Śnieg spadł w sobotę w górach koło Nadwórny i Sołotwiny.

Z powiatu kamioneckiego piszą nam: Jakiś pokątny donosiciel z Banunina koło Żelechowa doniósł do *Diła*, że nauczycielka tamtejsza panna Fulińska każe się dzieciom szkolnym i po rusku i po polsku żegnać, i że uczy je, ażeby spotykając księdza ruskiego lub jakiego pana ruskiego, ukłoniły się i powiedziały *Sława Bohu i Isusu Chrystu*, zaś księdza polskiego lub jaką inną osobę wyznania rzymsko-katolickiego aby witały słowami: „Niech

będzie pochwalony Jezus Chrystus!" Autor tej korespondencyi oburza się na to, a przecież ludność miejscowa widocznie inaczej się na to zapatruje, skoro chłopi bez różnicy, czy Rusini, czy Polacy, co niedzielę idą do bliskich a cudownych kościołów w Milatynie i Żelechowie. W obrębie 5 mil nie ma takiej wioski, z którejby każdy chłop ruski przynajmniej 2 razy do roku nie poszedł do Milatyna do św. spowiedzi i nie przystąpił do Stołu Pańskiego. Czy tam spowiada ksiądz ruski, czy polski, to nasz chłop powiada. że to *oden Boh.* Zatem gdy ustawa krajowa przepisuje, że dzieci mają znać oba języki krajowe, a tu lud wiejski styka się prawie codzień zarówno z nabożeństwem polskiem, jak ruskiem — nic dziwnego, że p. Fulińska dzieci do tego stanu rzeczy przysposabia.

Inny zarzut tego p. diaka, który ową korespondencyę do *Diła* pisał, że po nauce szkolnej między godziną 5 a 6 p. Fulińska dziatki jakąś pobożną zabawką zabawiła. Takie rzeczy p. diaka oburzają i o nich donosi do gazet, ale nie oburza go, że panna Fulińska mieszka w takiem nędznem pomieszkaniu, że kura lepszy ma kurnik. Chałupka ma może 6 metrów kwadratowych, a cała obdarta z gliny, tak, że robactwo przez dziury w ścianach do garnuszka biednej panience włazi. Czyż prosta praczka miejska nie mieszka lepiej, niż ta panienka z domu wprawdzie ubogiego, ale cnotliwego, która strawiła 13 lat na naukach, szkołę wydziałową i seminaryum skończyła celująco, maturę zdała z odznaczeniem, cała jej kwalifikacya wzorowa, a na teraźniejszem stanowisku swem dzieci pilnie uczy i wszczepia w nie słowo Boże, miłość do rodziców i kraju! I za to wszystko tak musi się męczyć. A *Diłu* nie dość na tem; zamiast domagać się polepszenia jej bytu, jeszcze napada na nią w tak niesłuszny sposób. Czyż to nie jest znamienne?

„Austryacki związek ludów", tak zwie się nowa instytucya humanitarna, powstała ku uczczeniu pięćdziesięcioletniego jubileuszu Cesarza Franciszka Józefa I. pod protektoratem arcyksięcia Rainera. — Celem jej jest zorganizowanie publicznej dobroczynności dla niesienia pomocy w razie klęsk elementarnych. Członkami mogą być zarówno gminy, okręgi, stowarzyszenia, kluby, cechy i korporacye, jak i każda osoba, która uiści wkładkę roczną 50 ct. Komitet założycieli tego „Związku" składa się przeważnie z posłów do Rady państwa: z naszych posłów należą do niego pp. hr. Borkowski, Byk, Gniewosz, Górski i Wachnianin. Odezwa komitetu wzywa do utworzenia stałych komitetów ratunkowych krajowych, powiatowych i gminnych, które mają wspierać działalność Związku. Godłem Związku jest skrzydlate złocone serce, nad którem wznosi się srebrna gwiazda, a nad nią znów korona, taka jak zazwyczaj widnieje nad dwugłowym orłem austryackim. Pod sercem powiewa wstążka z napisem: *Bis dat, qui cito dat.* Wszelkie listy, zapytania, dary, wkładki itp. tymczasowo nadsyłać należy na ręce członka komitetu p. Józefa von Brenner-Felsach (Wien IV. Taubstummengasse 6).

† Barbara z hr. Bobrowskich hr. Zborowska zmarła dnia 10 bm. w majątku swoim Bieździedza w 62 roku życia. Jest to czwarty zgon w przeciągu roku w tej samej rodzinie. Po sędziwej matce Honoracie z hr. Lubienieckich hr. Karolowej Bobrowskiej, która przeżyła niemal całe stulecie — zeszły ze świata jej córki: Felicya z Bobrowskich Pruszyńska, Marya hr. Romerowa, a teraz łączy się z nimi w wieczności Barbara Zborowska, osierocając swym zgonem trzy córki: Jadwigę za Władysławem Płockim w Nowodworzu, Zofię za Tadeuszem Sroczyńskim i Izabellę, oraz trzech synów: Jana, rotmistrza ułanów, ożenionego z Heleną Męcińską z Partynia, Stefana właściciela Jankowej i Stanisława.

Nieprzyjęta ofiara. Znany w Warszawie filantrop, p. Józef Landau, ofiarował na rzecz warszawskiej Kasy zapomogowej dla literatów i artystów 500 rubli, których jednak komitet Kasy postanowił nie przyjąć. Decyzya ta wywołała ogromne zainteresowanie w całej Warszawie. Przez kilka dni z rzędu nie mówiono o niczem innem, tylko o tym wypadku. Jedni gorszyli się tem postanowieniem, drudzy je chwalili, niektórzy wyrażali tylko wielkie zdziwienie.

Gazeta Polska pisze o tem tam: „Bądź co bądź, dowody usprawiedliwiające postępek komitetu są łatwe do zrozumienia. Oto Kasa wspomniana jest organem rzeszy literacko-dziennikarskiej, która ma obowiązek dbać o reputacyę swojej powagi i niezawisłości — i nietylko o reputacyę samą, ale nawet o jej pozory. Dlatego wolno im przyjmować ofiary od kolegów po piórze, od tych, którzy żyją i pracują dla sztuki, lecz od innych jednostek — nie. Ludzie poważni wiedzieliby wprawdzie, że przyjęcie przez Kasę datku na fundusz zapomogowy od jakiegoś finansisty obowiązywałoby tylko do podziękowania, lecz złośliwi mogliby twierdzić, że bankierzy dają jałmużnę literatom, aby ich przekupić. Krytykowanie sfery, z której pochodziłyby takie datki, musiałoby wyglądać na niewdzięczność, zaś wyrazy uznania w wypadkach rzeczywistej nawet zasługi — na służalczość".

Rodowód Esterhazych. Dziś, gdy nazwisko to tak osławione zostało procesem Dreyfusa, nie od rzeczy pewno będzie przypomnieć, że już roku 1872 (obecnie nie byłoby dziwnem) znalazł się autor, który ród ten z Polski wywodzi. Herrmann von Scharff-Scharffenstein w dziełku w Stutgardzie roku 1872 wydanem: Das geheime Treiben, der Einfluss und die Macht des Judenthums in Frankreich seit hundert Jahren 1771 — 1871, pisze na stronie 79, że pierwszy Esterhazy, który do Węgier przybył, nazywał się Esteros, a pochodził od Niemira, syna nielegalnego Kazimierza Wielkiego i Esterki, Esterhazy znaczy bowiem domek Estery. Autor, były podporucznik à la suite Maksymiliana, króla bawarskiego, praktykant w archiwum państwowem, nie zaglądał widocznie do tego archiwum, skoro odważył się wypowiedzieć tak niedorzeczne twierdzenie. Król Kazimierz miał z Esterką, córką krawca żydowskiego z Opoczna, dwóch synów, Pełkę i Niemira, ale z nich wywodzą ród Niemirowie, Niemirycze, Niemirowscy, jak to Lelewel wykazał. Esterhazych rodzina wyprowadza ród swój od Attyli, a w każdym razie ma dokumenta sięgające roku 1238. Jak wiadomo, magnacka ta rodzina węgierska zapiera się sławetnego paryskiego Esterhazego, czy słusznie, nie nasza rzecz rozstrzygać, ale i my za ten nabytek dziękujemy, zadowoleni, że Esterhazy nie może się zaliczać do narodu naszego.

Stan powietrza. T. o g. 7 rano +10, w poł. +10 R. Bar. 753. Spada. Deszcz.

Jojny Firułkes.

W ostatnim numerze *Śmigusa* znajdujemy doskonałą recenzyę humorystyczną o ostatnim utworze scenicznym p. Zapolskiej. Powtarzamy ją w całości:

Pani Śnieżkowa-Zapolska miała dwie dzieci: Małki Schwarzenkopf i Jojnego Firułkesa. Małka była mondra, ale Jojne za to był durny i tumanowaty, jak taki defraudant, co i dał złapać na ciepłym uczynku. Bo proszy tylko posłuchać:

Jak Jojnowi umarła żona, to un zamiast wyjść drugi raz za mąż i wziąść drugi posag, potrzebował dostać pomięszany rozum i zostać porządnym człowiekiem. Zamiast robić interesy i kupować różny galanteryjny rzeczy, tak jak to Feldman robił, to un si wziął do Czapliński i uczył ją czytać po hebrajsku. Po co pannie Czapliński hebrajskiego jenzyka? Jakby jeszcze po francusku, albo po rosyjsku — nu to jeszczy, ale po hebrajsku?!

Miał wienc Feldman racyi, ży jemu powiedział *a rich in dein tatyn* i miała racyi także panna Jankoska, że wolała dać sobi zakręcić w głowi przez Modzeleskiego, jak przez tego durnego Jojnego Nowackiego.

To też zupełnie sprawiedliwi został un ukarany, że miast piekarza od mac, musiał zostać czeladnikiem od grabarza żydowskiego.

Jednakże dowiedziałem si, ży pani Zapolska postanowiła bardziej go ukarać, bo zaczęła pisać kawałyk, w którym Jojny ma zostać cybulizowanym żydem i po ożenieniu się z panną Ogińską ma zostać kandydatem adwokackim.

Jojny Firułkes byłby dobrym kawałkim, gdyby nie był takim nudnym, a drektor Gimpel ma zupełny racyi, ży powiedział, ży jemu po tym kawałku robi si we środku to samo wrażeni, jak po żydowski rybi, ktury gotowała katulicka kucharka. Za dużo cukru, za dużo miodu, a za mało cybuli.

Pani Zapolska dała dowód, że jest najwienkszą antysemitniczką w Galicyi, bo pokazała, że jak żyd jest przepadkowo porzondnym, to tylko dlatego, że jest durnym.

Już wiency na jej kawałki nie pójdziemy.

Sało Quargelduft.

Repertuar teatru hr. Skarbka. Dziś we wtorek „Otello", występ Bolesł. Ładnowskiego. We środę „Przed ślubem" występ Bolesł. Ładnowskiego. We czwartek „Madame Sans-Gene" z p. Ładnowskim. W piątek nie będzie przedstawienia. W sobotę „Hamlet", występ p. Ładnowskiego. W niedzielę „Zbójcy" z p. Ładnowskim.

Literatura i sztuka.

✝ **Z teatru.** Znowu zupełnie innym ujrzeliśmy wczoraj p. Kamińskiego. Grał on Kosslera w „Walce motyli" Sudermana. Autor ten silny, jak wiadomo, w efektach czysto scenicznych, charakteryzuje swoje postacie dość powierzchownie. Ma jednak tyle sprytu, że nakreśliwszy postać z gruba, nie popełnia przynajmniej fałszów takich n. p. jak Bisson, który bohaterom swoim każe się często odzywać i zachowywać zupełnie nieodpowiednio do ich charakteru. Nie dając od siebie dużo wskazówek, z których by aktor mógł powysnuwać szczegóły, zostawia Sudermann szersze od innych autorów pole dla inwencyi aktora. Jeżeli zaś dodać do tego, że posługuje się efektami scenicznymi bardzo drastycznej natury, to jasnem jest, że role w sztukach jego są prawie wszystkie tzw. rolami „popisowymi" czyli efektownymi.

Kessler jest z zawodu komiwojażerem, jak sam mówi i jak twierdzi jego otoczenie, niesłychanie zdolnym. Oprócz tego jest on demonicznym dla kobiet, tylko, że demonizm jego jest bardzo *minorum gentium.* Jest on bowiem ordynarnym uwodzicielem, na którego lep iść mogą jedynie bardzo płytkie i prymitywne natury kobiece. Poza pewnym sprytem, z jakim się umie obracać w swoim światku i wyzyskiwać słabe strony swego otoczenia, jest to indywiduum tak głupie w swojej moralnej lichocie, że zakrawa niemal na karykaturę. Ale, że to chylenie się ku karykaturalności należy istotnie do rodzaju twórczości Sudermanna i bez tego utwory jego byłyby nudne, więc p. Kamiński szarżując w roli Kesslera, trafił w ton Sudermanowskiej twórczości i zrobił to, czego autor chcieć musiał, jeżeli postać Kesslera ma być plastyczną. Naturalnie, że szarża p. Kamińskiego w tej roli nie była dorabianiem do postaci jakichś cech charakterystycznych, któreby się roli sprzeciwiały lub ją zmieniały — p. Kamiński wyposażył ją szczegółami, które mogą charakteryzować zewnętrznie takiego właśnie komiwojażera, ale nie każdy taki komiwojażer musi się tak zachowywać, jak Kessler p. Kamińskiego. Równie dobrze mogłyby ożywiać postać i inne miny, ruchy i gesta zaobserwowane przez innego człowieka lub na innych ludziach tego pokroju, co Kessler.

I tak Kessler p. Kamińskiego jest to elegant dbający bez ustanku o swoją postać zewnętrzną, popisujący się ciągle swoją elegancyą i zarozumiały niesłychanie na tę swoją zaletę. Ale na czem ta elegancya polega? Oto na modnem ubraniu. Poza tem nie ma on ani odrobiny gustu i zachowuje się jak ostatni kupczyk, który się na niedzielę wystroił. Więc ciągle zwraca on uwagę swojego otoczenia na swoje ubranie, powiewa nową zarzutką, siadając zakłada wysoko nogę na nogę, aby było widać piękne żółte buciki i jeszcze piękniejsze kolorowe skarpetki. Oprócz tego ciągle sobie poprawia mankiety i wąsiki lub misternie ułożoną fryzurę. W ruchach jego znać ordynarną pewność siebie, a w stosunkach z drugimi uderza niesłychana arogancya towarzyskiego parweniusza. Myśląc, że jest bardzo przystojnym, błyska on z głupia tajemniczo oczyma, a do ust ma przez cały czas jakby przywarły uśmiech, który zawiera w sobie zarazem i pewność zwycięstwa i chytrość i zadowolenie ze siebie i zabójczą w pewnych sferach zalotność. Wewnętrznie jest to człowiek zmysłowy, bezwzględny tam, gdzie się czuje panem sytuacyi, a tchórzliwy, gdy trafia mu się coś, czego się nie spodziewał lub czego końca przewidzieć nie umie.

Oto mniej więcej figura, którą dał nam wczoraj p. Kamiński. Jak z tego opisu widać, wiele rysów było czysto przypadkowych, pochodzących z tego, że p. Kamiński takich ludzi obserwował przeważnie, choć żaden rys nie kłócił się z rolą ani nie wnosił do niej nic nowego i niepotrzebnego. — Najlepszym tego dowodem, że gdy przyszły w roli momenty gwałtowniejsze, p. Kamiński nie potrzebował wychodzić z ubranej na początku skóry aby je odegrać z prawdą. Nawet wówczas gdy Kessler przerażony atakiem młodego Winkelmana któremu bałamuci narzeczoną, staje się przez chwilę bezradnym, może on się zachować tak, jakby się powyżej opisany człowiek mógł zachować. Krzyczy trochę przyduszonym głosem „ou, ou" a potem gdy Winkelman wybiega, spluwa głośno, co ma oznaczać zarazem i zdziwienie i odwagę *post festum.* Takim samym, tylko z wyolbrzymieniem wszystkich cech charakterystycznych, jest on i w scenie orgii z szampanem i umizgów do dwóch sióstr z których jedna jest cudzą narzeczoną a druga 15-letnim podlotkiem. Oto dowód, że pan Kamiński tam, gdzie mu autor zostawia wolność ilustrowania postaci, umie z niej korzystać inteligentnie. Dobiera szczegóły przypadkowe, których ma ogromne bogactwo i wiąże je tak, że potrafi utrzymać się w tonie przez cały czas nie drażniąc ani przez chwilę przenikliwości psychologicznej, bardzo nawet przenikliwego słuchacza.

Przedstawienie wczorajsze było benefisem p. Kamińskiego a zarazem ostatnim i pożegnalnym jego gościnnym występem. Publiczność, która zapełniła szczelnie auditoryum, nie była skąpą i w inne bardziej platoniczne objawy uznania dla talentu i pracy znakomitego artysty. Teatr literalnie trząsł się od oklasków po każdej efektowniejszej scenie, a w jednym z antraktów zarzucono p. Kamińskiego bukiecikami. Oprócz tego otrzymał p. Kamiński dwa wieńce wawrzynowe jeden od „koła literackiego" a drugi od dyrekcyi i piękny ekran z fotografiami kreowanych przez niego postaci. Do tych objawów uznania przyłączamy się i my, szląc mu ztąd, z rubryki teatralnej wyrazy „recenzenckiej" wdzięczności za to, że w grze swojej dał nam materyał o którym można było i warto było pisać. *S. W.*

Część ekonomiczna.

§ **Wiedeń** 12 czerwca. Na poniedziałkowy targ zwieziono bydła rogatego na rzeź ogółem 5023 sztuk; w tej sumie było z Galicyi 849, z Bukowiny 76. Przebieg targu ożywiony. Ceny podniosły się o 1 zł. Z całego spędu pozostało niesprzedanych 43 sztuk. Wołów z Galicyi i Bukowiny sprzedano: 93 sztuk po 26—30 zł., 364 sztuk po 31—33, 365 sztuk po 34—37, — sztuk po 00—00 zł., licząc za centnar metryczny żywej wagi. Buhaje podtuczone bez różnicy pochodzenia kupowano po 27 do 34 zł., krowy podtuczone po 26—30 zł., bydło chude dla masarzy po 18 do 25 zł. także za centnar metryczny żywej wagi.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 13 czerwca. Wobec doniesienia *Vaterlandu* że obaj prezydenci ministrów w sobotę z powodu nowych trudności skłonni byli dalsze rokowania zerwać i że nawet obecny stan rzeczy jest jeszcze bardzo niepewny, *Wiener Abendpost* oświadcza zgodnie z pismami budapeszteńskimi, że wprawdzie podczas rokowań w sprawie ułożenia tekstu nowej umowy pewne trudności się wyłoniły, że jednak przy onegdajszych i dzisiejszych konferencyach zupełnie je usunięto, tak, iż kompromis uważać można za zupełnie załatwiony.

Prezydent ministrów hr. Thun miał wczoraj przedpołudniem posłuchanie u Cesarza. — W południe odbyła się pod przewodnictwem Cesarza Rada koronna. Byli na niej obecni wszyscy ministrowie, biorący udział w rokowaniach ugodowych.

Prezes gabinetu węgierskiego Koloman Szell i minister obrony krajowej br. Fejervary odjechali wczoraj do Budapesztu.

Wiedeń 13 czerwca. Na tablicy urzędu najwyższego marszałka dworu, przybito edykt, donoszący o stanowczem poddaniu pod kuratelę księżnej Ludwiki Koburgskiej z powodu sądownie stwierdzonego u niej osłabienia władz umysłowych. Dr, Feistmantel, który sprawował dotychczas prowizorycznie funkcye kuratora, mianowany został stałym kuratorem księżnej. Zarządzenie kurateli nastąpiło na podstawie dwóch orzeczeń lekarskich, z których jedno było przedmiotem wyczerpujących studyów w wiedeńskim wydziale medycznym, dokonanych osobiście przez profesora Kraft-Ebinga. Oba orzeczenia zgodnie opiewają, że księżna cierpi od dłuższego czasu na osłabienie władz umysłowych, wywołane wstrząśnieniem mózgu, oraz na znaczne obniżenie funkcyi intelektualnych i etycznych, skutkiem czego nie jest zdolną osobiście sprawami swemi zawiadywać, ani oceniać należycie znaczenia i skutków swoich postępków.

Jak donosi *Wiener Allg. Zeitung*, księżna Ludwika Koburgska doznała wstrząśnienia mózgu przed kilku laty, spadłszy z pagórka, wysokości 30 metrów. Wtedy była przez 3 gogodziny zupełnie nieprzytomna, a przez 4 do 5 dni następnych miała przytomność zamąconą, do tego przyłączył się później tyfus, który wpłynął również na osłabienie umysłu. Księżnę przewieziono świeżo z zakładu leczniczego w Purkendorf do sanatoryum Lindenhof koło Drezna.

Paryż 13 czerwca. W Izbie deputowanych interpelował wczoraj socyalista Vaillant w sprawie gwałtownego zachowania się policyi w minioną niedzielę. Mówca zapytał, jakie instrukcye dał rząd policyi w odniesieniu do socyalistów, którzy bronili Rzeczypospolitej przeciw zapędom reakcyi. Na to odpowiedział prezydent ministrów Dupuy, że wspomniany dzień był uroczystem świętem dla wszystkich republikanów, a jedyną instrukcyą dla policyi były słowa: „Należy utrzymać porządek", albowiem niemożliwą rzeczą jest rządzić, jeżeli w państwie spokój i porządek nie jest należycie przestrzegany. (Oklaski oraz protesty). Ze skrajnej lewicy wniesiono kilka porządków dziennych, między innymi porządek dzienny p. Saumade, który pochwala oświadczenia rządu. Prezes gabinetu Dupuy kilkakrotnie oświadczył, że żadnego innego porządku dziennego przyjąć nie może, jak tylko porządek dzienny Saumade'a.

Izba odrzuciła kilka porządków dziennych, wreszcie mimo ponownego oświadczenia Dupuy, że przyjąć może tylko porządek dzienny Saumade'a, uchwalono ostatecznie 366 głosami przeciw 177 porządek dzienny Ruau opiewający: „Izba zdecydowaną jest popierać tylko taki rząd, który ma silną wolę bronić jak najenergiczniej urządzeń republikańskich i porządku publicznego, oraz przechodzi do porządku dziennego". (Wielkie poruszenie). Ministrowie z p. Dupuy na czele opuszczają salę. Posiedzenie zamknięto. Następne odbędzie się w poniedziałek.

Po opuszczeniu sali, wręczyli ministrowie prezydentowi Loubetowi swoją dymisyę, który ją przyjął. Rozmowa ministrów z Loubetem miała charakter jak najbardziej serdeczny.

Socyaliści okazują żywe zadowolenie z obrotu sprawy. Loubet powoła dzisiaj do siebie prezydentów izby i senatu w celu narady nad sytuacyą polityczną.

Z powodu skarg na brutalne postępowanie niektórych ajentów policyjnych prefekt policyi zarządził surowe śledztwo.

Wiedeń 13 czerwca. Odbyte wczoraj wieczorem zgromadzenia partyi socyalno-demokratycznej celem zaprotestowania przeciwko uchwalonej przez Sejm dolno-austryacki reformie wyborczej, miały przebieg spokojny. Po zgromadzeniach przyszło w niektórych dzielnicach do nieznacznych starć ulicznych pomiędzy robotnikami a policyą. Aresztowano kilka osób.

Budapeszt 13 czerwca. *Budapester Correspondenz* donosi: Najbliższe posiedzenie Sejmu węgierskiego, na którem prezydent ministrów Szell złoży wyjaśnienie o zawartym z rządem austryackim kompromisie, — odbędzie się we środę. Przed posiedzeniem Sejmu odbędzie się konferencya stronnictwa liberalnego, na której prezydent Szell zda relacyę o załatwieniu sprawy ugody.

Haga 13 czerwca. Prezydenci poszczególnych sekcyi konferencyi pokojowej postanowili na wczorajszem posiedzeniu dostarczać prasie sprawozdań nietylko o posiedzeniach plenarnych konferencyi, lecz także o posiedzeniach komisyjnych.

Wiedeń 13 czerwca. Węgierscy ministrowie Lukacs, Daranyi i Hegedues powrócili dziś rano do Budapesztu.

Berlin 13 czerwca. Cesarz Wilhelm nadał artyście malarzowi Wojciechowi Kossakowi krzyż kawalerski orderu „Czerwonego orła".

Wiedeń 13 czerwca. Hr. Thun wyjechał do swoich dóbr Kwassitz w Czechach.

Paryż 13 czerwca. Według telegramów z Nizzy krąży tam pogłoska o aresztowaniu pewnego obcego generała, który od kilku dni bawił na urlopie; miano go aresztować pod zarzutem szpiegostwa. Do tego wypadku odnosi się zapewne pogłoska dotychczas nie potwierdzona o aresztowaniu ks. Orleańskiego. Pogłosce tej zaprzeczyły redakcye kilku dzienników.

Paryż 13 czerwca. Urzędownie zaprzeczają pogłosce, jakoby w Nizzy aresztowano ks. Orleańskiego. Aresztowany tam oficer jest włoskim jenerałem, a przytrzymano go w chwili, gdy na granicy włosko-francuskiej rekognoskował fortyfikacye francuskie. Znaleziono przy nim wiele papierów i planów, mimo to aresztowany zapewnia, że przedsięwziął podróż tylko jako turysta bez najmniejszego zamiaru szpiegostwa.

Paryż 13 czerwca. Wszystkie dzienniki w bardzo ostrych słowach krytykują gabinet p. Dupuy'a i twierdzą, że przez chwiejność i chęć niezrywania z nikim, Dupuy właśnie na aził sobie wszystkie stronnictwa i wywołał powszechne niezadowolenie. Dzienniki są zgodne też w zapatrywaniu, że niedzielne zajścia były tylko pretekstem do obalenia gabinetu. Socyaliści zasługę dokonania tego przypisują sobie. Większość radykalno-republikańska sądzi, że przesilenie skończy się bardzo rychło, natomiast dzienniki konserwatywno monarchiczne twierdzą, że teraz dopiero naprawdę poważne trudności urosną dla Loubeta.

Jako następców Dupuy'ego wymieniają między innymi: Constansa, Rouviera, Poincarego, Waldecka-Rousseau i Bourgeoisa; z innej zaś strony Brissona, Sarriena i senatora Trarieux. *Matin* zapewnia, że minister spraw zagranicznych Delcasse pozostanie przy swym urzędzie. W *Echo de Paris* Beaurepaire zapowiada, że wkrótce opublikuje dowody winy Dreyfusa.

Wiedeń 13 czerwca. Minister prezydent jako kierownik ministerstwa spraw wewnętrznych mianował Józefa Opolskiego starszym inżynierem w ministerstwie spraw wewnętrznych.

HOTEL IMPERIAL
(pierwszorzędny hotel, restauracya i kawiarnia)
Lwów — ulica Trzeciego Maja.

Przyjechali dnia 13 czerwca. T. br. Horoch, W. Czerwiński, W. Struszkiewicz, B. Bettelheim i H. Kulow z Wiednia. Z. Horodyński z żoną z Zbydniowa. H. Wachter z Budapesztu. M. Kimelman z Liczkowiec. H. z Cieńskich Mysłowska z Orzechowiec. M. Tumajeff z Petersburga. H. Jäger z Dusseldorffu. T. Gawiński z Grabownicy. K. Przybysławski z Zaleszczyk. E. Schnell z Brodów.

HOTEL EUROPEJSKI
ALBERT SZKOWRON
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 13 czerwca. Hrabina Tarnowska z Tarnówki. Hrabina Cetner z Mościsk. Radzca Fellner z Wiednia. M. Orska z Tłumacza. W. Wachal z Charkówki. M. Komornicki z Jarosławic. M. Udrycka z Mostów wielkich. M. Osuchowski z Łuczyszcza. J. Goldberg z Grzymałowa. Dr. Groblewski z Stryja. Fr. Pohl z Wrocławia. J. Karpowicz i M. Kopernicki z Rosyi. Por. Schreiner z Wiednia.

HOTEL FRANCUSKI
plac Maryacki
i **Hotel pod trzema Murzynami**
ul. Krakowska l. 9
Ludwika Stadtmüllera własne.

Przyjechali dnia 13 czerwca. Bol. Poraj Żakiej z Krakowiec. P. Skarzyński z Szwejkowa. Lekarz wojskowy Stepler z Komarna. P. Grand z Przemyślan. Dr. Auslaender z Czerniowiec. J. Aufscesser z Budapesztu. P. Białobrzeski z Gajów. P. Madejewski z Wołowego. Dr. Byk z Brodów. J. Walter z Jonsdorfu. P. Busse z Krzeszowic. S. Berger, S. Frankl, J. Freund, J. Pietschmann i S. Kallmann z Wiednia.

Lwów 13 czerwca. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 310·50 do 312·50 Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 300 zł. w. a. 287.50 do 291.00. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a. 384.— do 394·—. Akcye garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 205·— do 212·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 258·— do 265·—. Banku dla handlu i przemysłu po 200 zł. 200·00 do 201·00.

Listy zastawne za 100 złr. Banku hipot. galic. 5 proc. losy w 50 lat. z 10 proc. prem. 110.20 do 110·90 4 i pół proc. los. w 50 lat 100.— do 100·70. 4 proc. los w 60 lat 96.50 do 97·20. Banku kraj 4 i pół proc. los w 61 lat 100·80 do 101·50. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 98·— do 98·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 97.50 do 98·20, 4 proc. los w 41 i pół latach 97·50 do 98·20, 4 proc. los w 56 lat 95·90 do 96·60.

Obligi za 100 zł., Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 98.00 do 98·70. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102·50 do —·—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102·00 do —·—. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 97·50 do 98·20. Pożyczki kraj. 6 proc. 104.00 do —·—. 4 proc z 1893 r 97.00 do 97·70, 4 proc. po 200 koron z 1898 roku 94·20 do 94·90.

Monety. Dukat cesarski 5·64 do 5·74. Napoleondor 9.52 do 9·62. Półimperyał 9.50 do 9·60. Rubel rosyjski papierowy 127·40 do 128.40 100 marek niemieckich 58·75 do 59·15.

Wiedeń 13 czerwca. (Giełda towarowa). Spirytus 17·80—18·20. Nafta galicyjska bez zmiany. Cukier 14·50—14·55.

Berlin 13 czerwca. (Zamknięcie giełdy). Banknoty austryackie 169·80. Spirytus 40·—.

Paryż 13 czerwca. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 102·17. Mąka 43·35.

Frankfurt 11 czerwca. (Wczorajsza giełda wieczorna). Kredyty austryackie 224·70; kolej państwowa 153·10; alpiny 000·00; disconto 198·20, laura 269·70.

Wiedeń 13 czerwca. (Giełda zbożowa). Pszenica na maj-czerwiec 9·45—9·47, na jesień 8·99—9·00; żyto na maj-czerwiec 7·60—7·65, na jesień 7·14—7·15; kukurudza na maj-czerwiec 4·85—4·87, na czerwiec-lipiec 0·00, na lipiec-sierpień 4·87—4·88; owies na maj-czerwiec 5·93—5·95, na jesień 5·89—5·90; rzepak na sierpień-wrzesień 13·00—13·10, olej rzepakowy na wrzesień-grudzień 31—32. Tendencya słaba. Pogoda: pochmurno.

Budapeszt 12 czerwca. (Giełda zbożowa). Pszenica na październik 8·87—8·88; żyto na październik 6·88—6·89; kukurudza na lipiec 4·59—4·60, „na maj r. 1900" 4·81—4·82; owies na październik 5·60—5·61; rzepak na sierpień 13·00—13·10. Oferty na pszenicę mierne. Chęć kupna słaba. Tendencya spokojna. Pogoda: pochmurno.

RUCH POCIĄGÓW KOLEJOWYCH
obowiązujący z dniem 1 maja 1899 roku
(Czas środkowo-europejski).

Do Lwowa z:

Pociąg posp. przych.	Pociąg osob. przych.	
	12·10	Skolego, Stryja, Kałusza i Borysławia.
12·30		Czerniowiec (Bukaresztu) i Stanisławowa.
2·16		Krakowa (Berlina, Wrocławia, Wiednia, Oświęcima.
	3·05	Podwołoczysk, Grzymałowa, Kozowy, Tarnopola na Podzamcze.
	3·30	Podwołoczysk, Grzymałowa, Kozowy, Tarnopola na dworzec główny.
	6·00	Krakowa (Wiednia), Sambora, Sanoka.
	6·10	Czerniowiec (Ickan, Galacu, Jass), Stanisławowa.
	6·50	Brzuchowic, tylko od 7 maja do 15 września włącznie.
	7·10	Zimnej Wody tylko od 7 maja do 10 września włącznie.
	7·40	Janowa.
	7·55	Ławocznego (Pesztu), Kałusza, Chyrowa, Stryja.
	7·45	Tarnopola, Brodów na Podzamcze.
	8·05	Tarnopola, Brodów na dworzec główny.
	8·15	Sokala i Rawy ruskiej.
	9·00	Krakowa (Wiednia, Warszawy, Orłowa i Pesztu przez Przemyśl).
	11·15	Jarosławia i Lubaczowa.
	11·55	Stanisławowa (Kerösmező, Kozowy).
	1·01	Janowa.
1·30		Krakowa (Wiednia, Berlina, Wrocławia), Sanoka.
	1·40	Skolego, Stryja, Kałusza, Chyrowa, a z Ławocznego tylko od 1 lipca do 15 września.
1·50		Ickan (Bukaresztu, Galacu, Jass), Śniatyna, Stanisławowa.
2·20		Podwołoczysk (Kijowa, Odessy), Grzymałowa, Husiatyna, Tarnopola, Brodów na Podzamcze.
2·35		Podwołoczysk (Kijowa, Odessy), Grzymałowa, Husiatyna, Tarnopola, Brodów na dw. główny.
	5·15	Podwołoczysk (Kijowa, Odessy, Grzymałowa, Kozowy, Brodów) na Podzamcze.
	5·40	Podwołoczysk (Kijowa, Odessy, Grzymałowa, Kozowy, Brodów) na dworzec główny.
		Sokala, Bełzca i Lubaczowa.
	6·10	Krakowa (Wiednia), Wieliczki, Orłowa, Rozwadowa, Sambora, Chyrowa.
	6·20	Ickan, Suczawy, Radowiec, Kozowy, Podwysokiego, Halicza.
	7·55	Janowa od 1 do 31 maja i od 16 do 30 września codziennie, a od 1 czerwca do 15 września tylko w niedziele i święta.
	8·15	Brzuchowic od 7 maja do 30 czerwca i od 16 sierpnia do 10 września włącznie codziennie.
	8·34	Brzuchowic od 1 lipca do 15 września codziennie.
8·45		Krakowa (Wiednia, Berlina, Wrocławia), Lubaczowa, Sanoka, Pesztu.
	9·21	Janowa tylko od 1 czerwca do 15 września włącznie.
	9·57	Krakowa (Wiednia, Berlina, Wrocławia), Jasła, Lubaczowa, Sanoka, Pesztu.
	10·10	Ickan (Bukaresztu, Jass, Galacu), Suczawy, Kozowy, Podwysokiego.
	10·05	Podwołoczysk (Kijowa, Odessy), Brodów, Kopyczyniec na Podzamcze.
	10·25	Podwołoczysk (Kijowa, Odessy), Brodów, Kopyczyniec na dworzec główny.
	10·30	Ławocznego (Pesztu), Chyrowa.

Ze Lwowa do:

Pociąg posp. odch.	Pociąg osob. odch.	
[illegible]		Krakowa (Wiednia, Wrocławia, Berlina).
2·36		Ickan (Bukaresztu, Constancy).
	4·10	Krakowa (Wiednia, Wrocławia, Berlina), Chyrowa, Sambora, Mezö-Laborcz (Pesztu), Sanoka, Rymanowa, Iwonicza, Krosna przez Przemyśl, Jasła przez Rzeszów, Wieliczki.
	5·50	Brzuchowic od 7 maja do 10 września włącznie.
	6·20	Ławocznego (Munkacza, Pesztu), Borysławia.
	6·15	Podwołoczysk (Kijowa, Odessy), Brodów, Kozowy z dworca głównego.
	6·30	Stanisławowa, Podwysokiego, Kozowy.
	6·35	Podwołoczysk (Kijowa, Odessy), Brodów, Kozowy z dworca Podzamcze.
8·30		Krakowa (Wiednia, Wrocławia, Berlina), Lubaczowa przez Jarosław, Rozwadowa, Nadbrzezia, Orłowa przez Tarnów.
	8·45	Krakowa (Wiednia, Warszawy), Chyrowa, Stróżego.
	9·10	Skolego, Kałusza, Borysławia, Chyrowa do Ławocznego tylko od 1 lipca do 15 września.
	9·20	Janowa.
	9·30	Podwołoczysk, Brodów, Kopyczyniec, Husiatyna, Kozowy, Grzymałowa z dworca głównego.
	9·45	Ickan, Radowiec, Suczawy.
	9·59	Podwołoczysk, Brodów, Kopyczyniec, Husiatyna, Kozowy, Grzymałowa z dworca Podzamcze.
	10·10	Bełzca, Rawy ruskiej, Sokala i Lubaczowa.
	12·50	Janowa od 1 lipca do 15 września włącznie tylko w niedziele i święta.
1·55		Podwołoczysk (Kijowa, Odessy), Brodów z dw. gł.
2·08		Podwołoczysk (Kijowa, Odessy), Brodów z Podzamcza.
	2·15	Brzuchowic tylko od 7 maja do 10 września włącznie w niedziele i święta.
2·45		Ickan, Podwysokiego, Kozowy, Kałusza, Husiatyna.
2·55		Krakowa (Wiednia, Wrocławia, Berlina), Lubaczowa, Jasła, Chabówki.
	3·05	Stryja, (Skolego tylko od 1 maja do 30 września włącznie).
	3·15	Janowa od 1 maja do 30 września włącznie.
	3·20	Zimnej Wody tylko od 7 maja do 10 września wł.
	3·25	Brzuchowic tylko od 7 maja do 10 września wł.
		Jarosławia.
		Stanisławowa.
	6·40	Krakowa (Wiednia, Wrocławia, Berlina, Warszawy), Mezö Laborcz (Pesztu), Orłowa przez Tarnów od 15 czerwca do 15 września włącznie.
	6·50	Janowa od 1 czerwca do 15 września włącznie tylko w dnie powszednie.
	7·00	Ławocznego (Munkacza, Pesztu, Chyrowa, Kałusza).
	7·10	Sokala i Rawy ruskiej.
	7·20	Tarnopola z dworca głównego.
	7·42	Tarnopola z Podzamcza.
	7·47	Janowa od 1 października do 30 kwietnia włącznie.
	8·35	Janowa od 1 do 31 maja i od 16 do 30 września włącznie.
	9·10	Janowa od 1 czerwca do 15 września włącznie w niedziele i święta.
	10·40	Ickan, Husiatyna, Kałusza, Szeparowiec-Kuraż dworu, Nowosielicy.
	10·50	Krakowa (Wiednia, Warszawy), Chyrowa, Sambora, Sanoka, Rymanowa, Iwonicza.
	11·10	Podwołoczysk, Brodów, Kopyczyniec, Husiatyna, Grzymałowa z dworca głównego.
	11·32	Podwołoczysk, Brodów, Kopyczyniec, Husiatyna, Grzymałowa z Podzamcza.

Uwaga. Czas środkowo-europejski różni się od czasu lwowskiego o 36 minut a mianowicie 12 godz. w czasie środkowo-europejskim = 12 godz. 36 min. czasu lwowskiego.

Nocne godziny od 6·00 wieczór do 5·59 rano objęte są **tłustemi** ramkami. Biuro informacyjne ck. kolei państwowych przy ul. Krasickich l. 5. udziela wyjaśnień w sprawach kolejowych, sprzedaje wszelkiego rodzaju bilety jazdy i rozkłady jazdy, w formacie kieszonkowym.

14)

OPĘTANI

POWIEŚĆ MATYLDY SERAO.

(Ciąg dalszy).

Chodził po salonie i mówił do samego siebie, jak gdyby był przyzwyczajony myśleć głośno.

Chwilami, pomimo egzaltacyi, spostrzegał sylwetkę córki i znowu wracał do swych marzeń.

— Bo inaczej, Blanco, na co możemy rachować? Na pracę?... Jestem już starym, a ty jeszcze dzieckiem. Przodkowie nasi nigdy nie umieli pracować, ani w młodości, ani w wieku późniejszym. Rzucić się do interesów? Umiemy tylko hojnie wydawać pieniądze własne. Potrzeba nam więc majątku i zdobyć go musimy odrazu, w ciągu jednego dnia. Będziemy go mieli, zobaczysz... Jestem pewnym... wiele wizyj, wiele snów zapowiedziały mi go. Przekonasz się. Będziesz miała konie, powozy, karetę do spacerów na Riviera di Chiaia, inną do teatru San Carlo... Zobaczysz, moja córko, zobaczysz... Kupię ci naszyjnik z pereł, ośm sznurów spinanych na jeden szafir, dyadem brylantowy, jaki nosiły wszystkie kobiety w rodzie Cavalcantich, nawet jeszcze matka twoja...

Zamilknął, jakgdyby wzruszenie odjęło mu głos i tylko w wyobraźni snuł dalsze marzenia przyszłego przepychu.

— Codziennie salony otwarte, stoły nakryte, ubodzy nakarmieni... Jałmużnę będziemy sypali garściami, bo wielu jest nieszczęśliwych! Zresztą, ślubowałem uczynić zapis na posagi dla ubogich i uczciwych dziewcząt... I wiele innych uczynię zapisów, skoro tylko otrzymam tę łaskę!

Blanca, zamyślona, w milczeniu słuchała słów ojca.

Każdego wieczora wyobraźnia jego roztaczała przed nią podobne obrazy przyszłości, sprawiając jej niewymowną boleść.

Nie wierzyła w nie, lecz lękała się słów naprzemian gwałtownych, czułych lub gniewnych.

Nie mogła przywyknąć do tych wybuchów namiętności, wstrząsających przywykłą do spokoju jej duszą.

— Adwokat Marzano — zaanonsował Jan.

Wszedł mały, zgarbiony staruszek o siwych wąsach, przenikliwym choć łagodnym wzroku, ubrany bardzo skromnie.

Przechodząc około Blanki, ukłonił się jej i gestem ręki poprosił o pozwolenie pozostania w kapeluszu na głowie.

Zachował również w ręku wielką laskę z trzciny indyjskiej.

Następnie, regulując swój krok do kroku margrabiego, zaczął z nim chodzić wszerz i wzdłuż salonu, rozmawiając po cichu.

Ile razy przechodził przed lampą, można było widzieć błyszczące z zadowolenia jego oczy, poruszające się gęste wąsy, jakgdyby w myśli czynił jakiś rachunek

Pogrążona w pracy i by nie słyszeć, natężająca umyślnie na nią swą uwagę, Blanca mimowoli jednak od czasu do czasu słyszała wymówiony przez swego ojca lub adwokata Marzano jakiś frazes w żargonie kabalistycznym.

— Kadenoya z siedmiu powinna odnieść tryumf..

— Moglibyśmy także mieć dwa z powrotem.

— Gra na położenie jest ryzykowną...

— Konieczny jest bilet wielki...

Tak pogrążeni w fantasmagoryach matematycznych, rozmawiali ze sobą, gdy Jan wszedł powtórnie i zaanonsował:

— Doktor Trifari.

Wkroczył mężczyzna liczący około lat trzydziestu, krzepki, tłusty, z wielką głową i szyją nieco krótką, o twarzy rumianej, okolonej brodą ryżą. Wargi miał wydęte, jakgdyby nabrzmiałe, niebieskie, osadzone na wierzchu oczy, podejrzliwe i wzbudzające podejrzenie.

Również jak i gość poprzedni, ubrany był ubogo i miał powierzchowność nieokrzesanego wieśniaka, której ani uniwersytet neapolitański, ani dyplom doktorski nie mogły z niego zetrzeć.

Teraz we trzech zaczęli chodzić po salonie, ale już wolniej.

Czasami doktor Trifari wyrzekł kilka słów i uczynił gest energiczny i mówiąc półgłosem, podejrzliwie spoglądał na swych towarzyszy i na ich cienie, jakgdyby lękał się zdrady.

Margrabia de Formosa zachował swą postawę starca gwałtownego, adwokat Marzano śmiał się oczami chytremi, udającemi dobroduszność, a doktor Trifari choć mówił gwałtownie, lecz ruchy miał ostrożne, jakgdyby ciągle lękał się czegoś. Skoro tylko dwaj starcy podnosili nieco głos, powstrzymywał ich gestem, wskazując okna i drzwi; raz nawet wskazał im Blankę, na co margrabia również gestem odrzekł, iż obecność jej nie przeszkadza.

I znowu wszedł Jan, anonsując:

— Profesor Colaneri.

Dość było spojrzeć na nowego gościa, by poznać, że był on pierwej księdzem. Na jego wygolonych policzkach zaczęła wyrastać gęsta broda czarna, lecz krótko ostrzyżone włosy na głowie, niepokrywające jeszcze tonsury, układ rąk, u których wygięty nieco palec wskazujący dotykał się palca wielkiego, sposób poprawiania okularów na nosie, ruch, jakim poprawiał palcami kołnierzyk, zresztą sposób rzucania wzrokiem z góry przy spoglądaniu na kogo, wszystko to wraz z postawą i ruchami odrazu wpadało w oczy i przypominało duchownego.

Formosa powitał go chłodno, gdyż miał wstręt do wszelkich renegatów.

Również i Colaneri okazywał ostrożność, a ponieważ nie mogli już, nie będąc słyszanymi, rozmawiać, chodząc we czterech, więc stanęli w ambrazurze ciemnego okna.

Tam wkrótce przyłączył się do nich Nino Casta, przystojny młodzieniec, brunet, bardzo szykowny, uśmiechający się bezustannie dla pokazania pięknych białych zębów, jeden z najszczęśliwszych agentów wymiany giełdy neapolitańskiej.

W końcu przybył człowiek, którego Jan zaansował głosem przytłumionym i tylko z imienia, lekceważąco, don Crescenzo, z powierzchowności wyglądający na subjekta lub komisanta, który wśliznął się do salonu lękliwie, lecz którego panowie ci traktowali na równi.

Marya Blanca zakłopotana nie odrywała się od roboty. Nie śmiała odejść bez pozwolenia ojca, a czuła, że obecnością swą przeszkadza.

Ta tajemnicza rozmowa, prowadzona w żargonie dla niej niezrozumiałym, to podniecenie wszystkich, te spojrzenia ukośne i podejrzliwe, zdradzające obłęd nieuleczalny, te twarze naprzemian bledniące lub rumieniące się, te ruchy gwałtowne, wszystko to męczyło ją niezmiernie i przejmowało przestrachem.

Zdawało się jej, że ci szaleńcy doprowadzą jej ojca do zguby, więc spoglądała na niego z rozpaczą, nie mając odwagi ostrzedz go przed nimi.

Wreszcie wszyscy sześciu odeszli od okna i postępując sznurem jeden za drugim, zajęli miejsca naokoło długiego stolika do kart, stojącego w zupełnem cieniu. Zasiedli ściśniętem kołem i oparłszy łokcie na zielonem suknie, wszyscy w jednakowy sposób sparli głowy na dłoniach, rozmawiali półgłosem, twarze naprzeciw twarzy, spoglądając sobie w oczy, jak gdyby wykonywali jakiś akt magii i czarodziejstwa.

Blanca Marya nie mogła już wytrzymać dłużej. Powstała cicho, nie poruszając krzesłem i unikając najmniejszego szmeru, zabrała swą robótkę i pospiesznie wyszła z salonu, z obawą, że może być przywołaną i z uczuciem strachu, jak gdyby kto szedł za nią. Uspokoiła się dopiero po wejściu do swego pokoju, czystego, nieco chłodnego, zapełnionego obrazami świętych, różańcami i świecami woskowemi.

Pokojowa jej, Małgorzata, usłyszawszy jej kroki, przyszła zapytać, czy nie chce udać się na spoczynek.

— Nie — odrzekła Blanca — nie chce mi się spać — poczekam jeszcze na ojca, bo nie złożyłam mu życzenia spokojnej nocy.

— Margrabia będzie siedział długo — odrzekła pokojowa. — Panienka zmęczy się, czekając tu sama.

— Będę czytała.

Służąca odeszła.

Blanca Marya wyjęła z biblioteczki powieść religijną Pauliny Craven p. t. „Słowo zagadki“, książkę pobożną i pocieszającą.

Ale tego wieczora skołatana jej dusza nie mogła być pocieszoną słowami powieściopisarki. Blanka od czasu do czasu wytężała słuch, by usłyszeć, czy jaki szmer nie dojdzie jej z salonu, czy przyjaciele ojca odeszli, lub czy nie przybyli nowi. Lecz nie usłyszała nic.

Kabalistyczni spiskowcy rozprawiali i naradzali się w dalszym ciągu, a panująca w pałacu cisza przerażała Blankę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Czerlańskiej. Drukarnia narodowa Stanisław Maniecki i Spółka — Lwów Hotel Georga.